Rok III. Kraków, dnia 20 Listopada 1884 r. Nr. 21. i 22.

PRZEGLĄD LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny redarktor **K. Bartoszewicz.**
Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Blaschke.**
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
ul. Sławkowska, hotel Saski.

Cena pojedynczego numeru 30 cnt.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.

LEKKI HUMORYSTA.

Jeżeli zamiast kazania,
Filozoficznej mikstury,
Politycznego paplania,
A co już najmniej broszury;
Wyrażać zwykłeś wesoło,
Myśl swoją, i prawdę czysto,
Wtedy wszyscy naokoło,
Nazwą ciebie: humorystą.
I wykrzykną: humorysta!
Niechże go piorunów trzysta.
Oto panie koncepista,
Lekki, lekki humorysta!

Lekki, żeś nie tak poważny,
Jak bonz, lub mandaryn chiński,
Lekki, żeś nie tyle ważny,
Co ołów, lub kamień młyński;
Że się wznieść zdołasz niekiedy
Mijając sferę błotnistą,
Nad poziom głupców czeredy,
Zwiesz się: lekkim humorystą!
I znów krzyczą: humorysta!
Niechże go piorunów trzysta,
Oto panie koncepista,
Lekki, lekki humorysta!.

Ze mówisz, piszesz, lub śpiewasz
Tylko to, co z sercem zgodne,
Że się rad z głupstwa naśmiewasz
A czcisz tylko, co czci godne,
Że dla sensu i jasności,
Poświęcasz formę kwiecistą,
Strzegąc się osobistości,
Zwiesz się lekkim humorystą!
I znów krzyczą: humorysta!
Niechże go piorunów trzysta
Oto panie koncepista,
Lekki, lekki humorysta!

A choć niejedną wypiłeś
Żółci własnej i łez beczkę,
Choć każdą życiem przeżyłeś
Śpiewaną przez cię piosneczkę;
Że nie klniesz przebytą w ciszy
Drogę grząską i ciernistą,
A łkań twoich nikt nie słyszy,
Zwiesz się lekkim humorystą!
I znów krzyczą: humorysta
Niechże go piorunów trzysta,
Oto panie koncepista,
Lekki, lekki humorysta!

A jeśli jeszcze, broń Boże,
Niezgorszym jesteś Polakiem,
I przyznajesz się w pokorze,
Że nie umiesz być ślimakiem,
Faryzeuszem, dewotem,
I poczwórnym egoistą,
Wtedy nie wątp nawet o tem,
Że cię nazwą humorystą!
I wykrzykną: humorysta!
Cha, cha, cha, cha, koncepista,
Chi, chi, chi, chi, pessymista
Nasz kochany humorysta!
I wykrzykną: humorysta,
Niechże go piorunów trzysta,
Oto panie koncepista,
Lekki, lekki humorysta!

A. Bartels.

PANI DOKTOROWA.
(HUMORESKA PROWINCJONALNA)

„Święte uczucia serca, to nie mary senne“
Syrokomla.

— A jeżeli to wszystko co mi pan powtarzasz jest nieprawdą; jeżeli zamiast uczuć niekłamanych dajesz mi pan, panie Henryku, puste frazesy, jeżeli.....

— Panno Niuto! dosyć. Czyż dałem powód do takich uszczypliwości, czyż każdym moim czynem, każdem spojrzeniem nie składam dowodów, że ciebie jedną kocham; przysięgać nie umiem, to byłby właśnie frazes; ale tam gdzie istotne uczucie...

— Jest kłamstwem. O ja wiem, wy wszyscy umiecie prawić czułe słówka przed ślubem, ale skoro raz zapadnie klamka i kobieta związana przysięgą wlec musi za sobą ciężar danych przyrzeczeń, wówczas piękne słówka nikną a pojawia się pan mąż ze wszystkiemi wadami. Oh! ja wiem.

— Nie wierzę,—doskonale wiem, że o prawdzie moich uczuć pani nie wątpi, a wszystkie te uszczypliwe uwagi wnoszę na debet tych kapitałów szczęścia, jakie w nienajdłuższym czasie obiecuję sobie podnieść.

— A które mogą pana ominąć, jeżeli będziesz nadto zarozumiałym. Kto tak mówi przed ślubem, najwymowniejszy składa dowód, że zostawszy mężem, stanie się tyranem.

— Zdaje mi się, że wobec uśmiechu pani i spojrzeń najsurowszy mężczyzna zmiękłby do niepoznania.

— Proszę mnie nie rozbrajać komplementami, którym nie wierzę.

— Ale, których słucham chętnie.

— Pan mnie obrażasz.

— Ależ skąd znów.

— Gniewam się na pana i grać dalej nie będę.

W istocie, panna Natalja grać przestała i wzrok na klawisze opuściwszy zdawała się oczekiwać tłumaczeń pana Henryka; ten jednak milczał uparcie. Portrety zawieszone w sali i kwiaty, co suto otaczały fortepian musiały się dziwić temu nieporozumieniu między parą zakochanych, no, bo, że p. Henryk kochał pannę Natalję tego nikt nie wątpił, a że panna odpłacała się swemu kawalerowi wzajemnością, o tem przestawał watpić każdy niedowiarek, widząc jakiem spojrzeniem obdarzała ona Henryka w czasie rozmowy i jak mile słuchała wszystkiego, co jej ten szatynek mówił do ucha. Dlaczegóż mieliby się nie kochać? Ona siedmnaście ledwie liczyła latek, on dwadzieścia cztery niedawno ukończył w jesieni. Znali się od dzieciństwa niemal, wypełniając księgę pamiątek wspomnieniami figlów dzieciństwa i zaklęć lat dojrzalszych. Związkowi temu nic na przeszkodzie nie stało, boć nie można tu brać w rachubę, że wszystkie brzydkie panny zazdrościły (tylko brzydkie są zazdrosne) szczęścia młodej parze. A no i kilka mam niezadowolonych, że im panna Natalja sprzątnęła kawalera, co mógłby znaleźć lepszą partją, (w przekonaniu mam) żeniąc z którą z ich córek. Ale to już trudno, ktoś gniewać się musiał, komuś musiało to być nie na rękę, bo inaczej byłaby to historya z życia księżycowego, a nie naszej ziemi, faktem jednak było, że najbardziej zadowoleni z siebie byli Natalja i Henryk.

Milczenie trwało chwilę.

— Czy w istocie panią obraziłem? zaczął Henryk, zbliżając się ku fortepianowi i biorąc zadąsaną zlekka Natalję za rękę.

Niuta spojrzała swemi ciemnemi oczyma na narzeczonego, uśmiechnęła się przyjaźnie i główkę nieco przechyliwszy, szepnęła:

— Obraziłeś mnie pan.

— W takim razie przepraszam.

Zapewniał mnie oleander, stojący pod oknem, że widział, jak Henryk ucałował rączkę panienki, a ona mu tego nie broniła. Nie wiem czy można wierzyć oleandrawi?..

— A więc zgoda i o koniec „Gondoliery“ proszę.

— Ale pamiętaj pan, że to po raz ostatni; od czasu jak zostaliśmy narzeczonemi, stajesz się pan nieznośny no, no! niech mi się pan nie poprawi po ślubie!..

Oleander powiada, że znów widział... ale teraz już mu wierzę.

Niuta opuściła ręce na fortepian i rozległy się dźwięki muzyki smutnej dla każdego innego słuchacza, krom dla zakochanych. Mrok zapadł i wśród krzewów pokojowych, które były świadkami miłosnej sprzeczki, o szarej godzinie, w melodyą muzyki wsłuchiwały się dwa serca, wzajem szczęścia pragnące, o sobie tylko marzące, rozkołysane dźwiękami i miłością tchnące. O czem myślała ona, zwolna, w pianissimach kończąc melodyą, co za „mary senne i powiewne“ snuły się jemu po głowie?.... O tem wiedzą zakochani tylko....

II.

„Jeżeli mężczyzna myśli źle, niema kobiety, która nie pomyślałaby jeszcze gorzej.“

Z „Dumań pessymisty.„

— Słyszałaś? Henryk się żeni, już po zaręczynach.

— Niepodobna.

— Skoro ja powiadam, to tak jest. Żeni się z tą gąską, która dlatego, że ma nieco gładsze liczko od wielu zacnych panien zawróciła chłopcu głowę, a on nieboraczek dał się złapać na takie wyblakłe oczy; nie wiem czy zwróciłaś uwagę, że Natalja ma jedno oko jaśniejsze, fatalna wada organiczna. Tu ci także muszę powiedzieć, że ona ma jedną łopatkę niższą; trzymałam to w tajemnicy, bo mi tam zupełnie wszystko jedno jakie kto ma łopatki, ale dziś, kiedy już klamka zapadła, to tylko tobie to powiadam.

— Ależ bój się Boga, taka zgrabna dziewczyna.

— No, wierz mi, już jak ja powiadam, to tak jest a nie inaczej. Zresztą, moja droga, chwalić się nie potrzebuję, ale ja tam najlepiej mogę to wiedzieć, bo jako żona doktora, wiem wszystko od męża. Leczył przecież tyle ludzi. Właśnie w zeszłym roku leczył Natalją na dyfterytys. Na wyjezdnem powiadam mu: pamiętaj obejrzeć dobrze dziewczynę, bo może ma jaką wadę, to przy sposobności da się skorzystać. No, i tak się stało jak sądziłam. Ma wadę.

— Trudno mi wierzyć.

Moja kochana, ja ci powiadam, że ma wadę; moja duszko, ją wiem jakie kto ma wady organiczne w całej okolicy. Żebym ja ci powiedziała, czego brak Józi Ciuciumkiewiczównie, to byś się przestraszyła. Tylko mnie tam na tem nie zależy, żeby komu szkodzić.

— Oh! z tej strony cię znam.

— Właśnie, wiesz najlepiej, że mnie ludzie nie obchodzą. Niech się kochają, zabijają czy żenią, ja tam zawsze obojętnem okiem na to patrzę. Proszę cię, matka dzieciom, gdzie mnie do plotek. Co innego, jak się kto koło córek moich — wiesz Ludwisia zrobiła bardzo ładną kanwę — zaczyna kręcić, ot to co innego, zaraz zasięgam o nim wiadomości. Żebym wiedziała, że nikomu nie powiesz, to bym ci napomknęła o jednem cudownem odkryciu. Ale, tajemnica!

— Bądź spokojna.

— Otóż uważam: Dwa lata temu, Henryk gorąco pragnął żenić się z naszą Helenką — jak ona mówi po francuzku! — ja myślę sobie: wszystko mi jedno, ten czy ów, aby porządny człowiek.

— Oczywiście.

— Tak, ale widzisz, nie każdy porządny jest zdrów. Powiadam tedy do męża: Obejrzyj ty tak niechcący tego Henryka, on musi mieć zarodki choroby wątrobianej.

— No, i cóż?

— Powiadam ci, nic.

— Jakto?

— Ano, nie chciał się pan konkurent zgodzić; powiedział, że to nie superewizya wojskowa. W tem właśnie coś musi być. I tak dlatego, jak pan Henryk zwrócił się ku Natalji, bardzo byłam kontenta.

— No, to wcale nie szczególnego złapały ptaszka.

— A ja ci powiem coś gorszego jeszcze.

— No?

— A to to, że p. Żarski jest podobno żonaty.

— Nie może być.

— Tak powiadają. Podobno w mieście mieszka jego żona, ale pod innem nazwiskiem.

— Fatalna historja!

— W połowie, bo chociaż mnie na tem nie zależy, kogo dostanie Natalka za męża, ale idzie mi o własną satysfakcyą. Kiedy bywał u nas, a myśmy go prawie za swojego uważali, on smarkacz jakoś powiedział Heli — dziś już mogę to powtórzyć, — że on nie wiąże się słowem z żadną panną, bo ma obowiązki do załatwienia. Uważasz, on obowiązki; nic innego, tylko jakieś dawne grzeszki.

— A ja ci powiem coś gorszego jeszcze.

Oto, że wkrótce jakoś po jego konkurach powiedział mi jego przyjaciel, Edmund najwyraźniej: Pani doktorowo, Henio ma w Warszawie stosunek z kobietą, którą kocha i z którą połączy się małżeństwem, wywiązując się z dawnych przyrzeczeń. Powiadam ci, jak się o tem dowiedziałam, mało nie zemdlałam. Ten łotr śmiał konkurować o moje dziecko! nie, to okropne.

— Straszne.

— Powiadam wówczas do siebie: bardzo dobrze, niech się jaka płotka złapie na tę fałszywą przynętę, no, i złapała się Natalja.

— I cóż ty teraz.

— Jakto cóż, doczekałam cierpliwie zaręczyn, a skoro klamka zapadła, skandal cały na jaw wyprowadzę. Będzie hałasu co nie miara.

— Okropne.

— Właśnie dziś wysyłam list do rodziców Natasi, niech wiedzą, kogo do domu puścili.

— Doskonały projekt.

— To też wybacz kochana Tereso, że cię dłużej nie zatrzymuję, ale zaraz siadam do listu, bezzwłocznie posyłam przez umyślnego posłańca. Kiedy działać, to pospiesznie.

— Rozumie się.

— Za dni kilka będziemy mieli o czem mówić.

— Do widzenia. Ucałuj dziewczęta.

— Dziękuję, do widzenia.

III.

W głowie szesnastoletniej dziewczyny
jest więcej zamięszania, niż w boju.

F. K.

Śmiało się słońce na jasnym błękicie do łanów zboża dojrzałego, do zielonych liści drzew, do śpiewu ptasząt, a może i do tych dwojga co z altanki klonowej wyszli pod rękę i wolno sunęli po drodze ku gościńcowi wiodącej. Ona lekko się wsparła na ramieniu przy którem przejść miała przez życie; On słuchał jej projektów na przyszłość.

— Będziemy szczęśliwi, kończyła, a urok miłości pozostanie dla nas świeżym wiecznie kwiatem. Gdy ty pracą znużony odpoczywać będziesz, ja czuwać będę nad tobą i twoim domem.

— Niuto!

— Nie dziękuj! Znam cię dobrze i wiem, żeś godzien tego uczucia, jakiem cię darzę.

— A wymówki niedawne.

— Niegodziwcze, myślisz, że nie wiem po co mi to przypominasz, chcesz pocałować. Figlarzu.

On się uśmiechnął.

— Ale tylko w czoło.

Henryk pochylił się ku narzeczonej, ona nieco ku niemu i parasolką zasłoniwszy twarze obojga, nadstawiła skroń do pocałunku. Skowronek z miedzy zerwawszy się do lotu, poszybował w górne sfery, niosąc pieśń o miłości...

— Ja wiem, mówiła dalej, chcieli obcy zabrać cię, ale stało się inaczej; polowano na ciebie, tylko łowy się nie udały; motyl wpadł w siateczkę. Wiem, nie zapieraj się, chciała cię i doktorowa na zięcia, a szkoda, że to nie doszło do skutku, miałbyś troskliwą teściową. Moja mama kocha cię dziś już i kochać będzie, ale z pewnością tak się nie będzie interesować jak pani konsyliarzowa.

— Nie wiem, czy wiesz, jakim sposobem uwolniłem się od tego czułego domu.

— Nie, opowiedz; ale zaraz, patrz, idzie ktoś od szosy, jest już niedaleko.

— Dokończę jak się z nim spotkamy, może posłaniec z listem.

W istocie był to wysłaniec, niosący dwa listy.

— Czy tędy do Wólki? — zapytał.

— Tak, a co niesiecie?

— Listy, do pani i do panienki.

— To właśnie jest panienka, odezwał się Henryk

— A, to dobrze. A z tym drugim pójdę do dworu. I oddał list Natalji. Henryk cofnął się dyskretnie na bok i laseczką począł ścinać trawę rosnącą po nad rowem.

Natalja niecierpliwie list otworzyła i poczęła czytać. W miarę jak dochodziła do końca, twarz jej bladła, ręce drżeć poczęły i parasolka, którą trzymała, upadła na ziemię.

Na odgłos tego Henryk obejrzał się, a ujrzawszy zmienioną twarz narzeczonej, podbiegł, z zapytaniem na ustach.

— Co się stało?

Ona chwilę na niego popatrzyła, a widząc twarz zaniepokojoną, rzuciła mu zmięty list pod nogi, z wykrzykiem:

— Nikczemny!

Henryk oniemiał. Podjął list i począł czytać, Niuta bacznie się przyglądała czytającemu, którego twarz rozjaśniała się co chwila, aż nakoniec głośnym parsknął śmiechem.

— Ależ to doskonałe!

— Ta-a-a-k? doskonałe? wycedziła Natalja.

— Spodziewam się.

— A ja się spodziewam mój panie, że chwila obecna jest ostatnią, w której się widzimy i rozmawiamy.

List pochodził od doktorowej i zawierał oskarżenie przeciw Henrykowi, który zdaniem piszącej był tajemnie żonatym w Warszawie.

Henryk, widząc, że insynuacya przyjętą została na serjo, poważnie przemówił:

— Przed chwilą zacząłem ci właśnie mówić...

— Proszę w rozmowie zachowywać formy, obowiązujące obcych sobie ludzi.

— Dobrze. Zacząłem pani mówić jakiego fortelu użyłem, aby się oswobodzić od narzucanego mi przez doktorową małżeństwa z jej córką. Uproszony przezemnie kolega, puścił pogłoskę, że jestem żonaty, plotka udała się i — oto wszystko, co...

— Można było na razie skomponować.

— Niuto!

— Dodaj pan: oszukana Niuto. No, to mi wyszło zaufać panu. Ah! to okropne.

— Prawda wyjaśni się niebawem, a teraz...

Służę pani ramieniem; pójdziemy do rodziców, bo i tam wskutek listu otrzymanego, zamięszanie nieladа.

— Dziękuję, sama dojdę, aby powiedzieć moim biednym rodzicom, jakiej uniknęli pułapki.

— Niech i tak będzie.

Oj te siedmnastoletnie dziewczęta!

IV.

„Hejże na Soplicę!...."

A. Mickiewicz.

Ojciec Natalji pojął o co rzecz idzie, to też po naradzie z przyszłym zięciem wystosowali list do p. doktorowej, w którym ojciec zawiedzionej panny dziękował za ostrzeżenie, dla przykładnego jednak ukarania młodziana postanawia wybrać się do Warszawy, aby tam zasięgnąć wiadomości o żonie tajemniczej Henryka i zdemaskować nieuczciwego chłopca. W tym też względzie udaje się pod opiekę p. doktorowej.

Postęp udał się i niebawem ojciec Natalji, Henryk i p. Eskulapowa znaleźli się w stolicy.

Henryk, opowiedziawszy Edmundowi całą sprawę wymógł na nim współudział w ukaraniu prowincjonalnej plotkarki.

— Doskonale się powiedzie upewniał Edmund; idź tylko poproś siostrę moją Janinę, aby zechciała wziąć udział w mistyfikacji, już ja ci dopomogę.

I w istocie powiodło się. Panna Janina przyrzekła odegrać rolę tajemniczej żony; miała się udać do kawalerskiego mieszkania Edmunda i tam przyjąć wizytę pani doktorowej. Zacna ta bowiem matrona namówiła pana Januarego na taki plan zemsty. Miała namówić domniemaną żonę do udania się w jej towarzystwie na wieś, dla osobistego zdemaskowania oszusta.

— Tylko mój panie January, mówiła, już kiedy się trudzę dla was, niechże mam satysfakcyą. Sprośćież na ten dzień kilka osób i tego warchoła, aż tu zajadę z żoną prawdziwą, ale jak jej na imię?

— Janina.

— Aż tu my z Janiną zjawiamy się raptem, efekt będzie, co? On zemdleje! Cudowne. Pan January się uśmiechał, a Henryk o wszystkiem powiadomiony, od śmiechu się zanosił.

Umówiony dzień nadszedł, pani doktorowa rozmówiła się z Janiną i po długich namowach zdołała ją nakłonić do wyjazdu na wieś.

— Proszę pani, to jest obowiązkiem uczciwego człowieka mitygować takiego warchoła.

— Pani, to mój mąż.

— Ja też współczuję nieszczęściu pani. Moja pani, mnie na tem nie zależy, żeby komu dokuczyć, ale jak widzę takie bezprawia, to już mi się sumienie burzy.

— A zatem jutro ruszamy.

— Niech i tak będzie. Ukarzemy zdrajcę!

— Śmierć zdrajcom, zawołała z emfazą doktorowa.

V.

„Miłość bywa żółcią trawiącą i zbawczym balsamem."
Szekspir.

— A jeżeli ta kobieta okaże się w istocie pańską żoną? mówiła Niuta do Henryka, powiadomiona o całym planie.

— To się nie pobierzemy, zakonkludował poważnie Henryk.

— Pan zemnie żartuje, a ja się obawiam tej całej historji,

— I ja także.

— Pan mi się znów zaczynasz sprzeciwiać.

— Aby znów uzyskać przebaczenie, lecz patrz pani, powozy zbliżają się.

— Panie Henryku, ja się czegoś lękam.

— I ja, ale ja to apopleksyi doktorowej, gdy się sprawa wyjaśni.

— Panie January, mówiła w powozie pani doktorowa, trzeba to zrobić ostentacyjnie. Dopieroż będzie skandal.

— Oj pewnie! mruczał Edmund.

Powozy zajechały. Henryk znikł umyślnie, Natalja ukryła się w swoim pokoju; dopiero kiedy wszyscy zasiedli do stołu, doktorowa, jako reżysser, zakomenderowała.

— Prosić młodych!

Henryk pojawił się w drzwiach, poprzedzony przez Natalją.

— Uwaga! rzuciła doktorowa.

Jakież jednak zdumienie było, gdy Janina z Natalją w objęcia się sobie rzuciły.

— Rok cię nie widziałam, zaczęła Natalja. Jak to dobrze, żeś przyjechała, ah! i pan Edmund. — Rekomenduję, mój narzeczony, pan Henryk. Wszak znacie się?

— Doskonale,

Doktorowa zbladła.

— Panie January: co to wszystko znaczy?

— Moja siostra, dorzucił z boku Edmund, jest koleżanką p. Natalji z pensyi.

Sytuacya się wyjaśniła.

Czy pani doktorowa po tej nieprzyjemnej nieco lekcji, korzysta jeszcze z medycznych wskazówek swego męża, niewiadomo, jak również tajemnicą jest czy odchorowała swoje upokorzenie, czy też zajmuje się kojarzeniem małżeństw.

Wszyscy za to wiedzą, że Natalja jest szczęśliwą żoną najzacniejszego z mężów, — jak sama zapewnia.

A. S.

HENRYK HEINE.

PORTRET LILERACKI

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

Ciąg dalszy.

Wprawdzie uchodził Heine w Bonn urzędowo za słuchacza nauk prawnopaństwowych, lecz w rzeczywistości uczęszczał daleko gorliwiej na wykłady literackie niż na te, z których miał mieć później chleb. Między profesorami uniwersytetu bonnońskiego oddziałał na niego najwięcej jeden z przywódców romantyzmu niemieckiego, słynny wówczas August Wilhelm von Schlegel, człowiek nadzwyczaj wykształcony, wytrawny krytyk i znakomity znawca literatury powszechnej. Schlegel, choć trzymał się zdala od kół studenckich, nie odmawiał jednak swych rad młodziuchnemu prawnikowi, w którym odkrył odrazu talent poetycki. On to nauczył Heine'go cenić formę, jemu zawdzięcza późniejszy mistrz słowa wiązanego w znacznej części ten niewysłowiony wdzięk wiersza, którym miał niebawem swych czytelników oczarować.

W Bonn wytrzymał Heine tylko przez dwa półrocza. W wrześniu 1820 r. udał się nasamprzód na krótki czas do rodziców, potem ruszył pieszo przez Westfalję do Göttingen, gdzie zamierzył pracować w swym fachu. Lecz przygoda pojedynkowa nie pozwoliła mu przysiedzieć fałdów. Wydalony z prastarej *Georgia Augusta*, przesiedlił się w lutym 1821 r. do Berlina.

W młodej stolicy Prus nad Szpreą płynęło właśnie wrzące życie rożnemi łożyskami. W polityce rozpanoszyła się wprawdzie reakcja w ujemnem tego pojęcia znaczeniu, przyspieszona bojaźnią przed t. z. demagogami, wytworzonymi przez wojny o niepodległość. Ówczesny rząd berliński nie przeczuwał, że wychowańcy i synowie tych domniemanych demagogów, będących w istocie tylko patryotami, włożą kiedyś koronę Hohenstaufów na skroń jednego z monarchów niemieckich. Lękając się jakichś przewrotów, o których wówczas nikt nawet nie myślał, rozciągnięto przedewszystkiem staranną opiekę nad literaturą i dziennikarstwem.

Lecz za to bawił się Berlin, tańczył, muzykował, hulał, jak nigdy przedtem. Lada grajek lub komedyant dorabiał się między r. 1820—1825 nad Szpreą znacznej fortuny. Ludzie prywatni, zamożniejsi, wydawali u siebie bale i wieczorki, politykując i filozofując wśród czterech ścian. Wodziło wówczas rej w towarzystwie berlińskiem kilka salonów żydowskich, w których się zgromadził kwiat: inteligencji, rodu i pieniędzy, rozprawiający gwoli zabawie kilku głośnych z wdzięków i dowcipu izraelitek. W salonie Raheli Lewin bywali wszyscy znakomitsi romantycy, jak: Fryderyk von Schlegel, Ludwik Tiek, baron de la Motte

Fouqué, Wojciech von Chamisso i filozofowie: Schleiermacher i Fichte. Bywali tam i bogacze i książęta, genialni i rozpustni, a wszyscy znajdowali, czego szukali, bo «salon» był nietylko miejscem schadzek dla «pięknych dusz», lecz także wygodnem schroniskiem dla panien i wdów, lubiących romanse i parawanem dla mężatek, niezadowolonych jednym panem a władcą. I córka Mojżesza Mendelsohn'a i Henryetta Herz pomagały «ożywiać» towarzystwo berlińskie.

Henryk Heine lubił się bawić. Nie palił on nigdy tytoniu, ani używał napojów gorących, lecz za to bywał gorliwym wielbicielem płci pięknej. Młody student, żyjący dotąd w małych miasteczkach prowincjonalnych, wykluczony tam jako izraelita z torzystwa wykwintniejszego, w stolicy nad Szpreą, w której panowała wówczas bezwyznaniowość, pokostowana odrobiną kosmopolityzmu, rzucił się całym sobą w wir uciech i rozrywek, i zapomniał zupełnie o studyach fachowych. Tu nie wytykał mu nikt pochodzenia żydowskiego; przeciwnie, modą tu było, cnotą, wielkim rozumem pomijać religię i narodowość.

Wprowadzony do salonu słynnej Raheli, uczuł się Heine odrazu w swoim żywiole, tym więcej, że tak sama «wieszczka,» jak i mąż jej, Varnhagen von Ense, nie szczędzili poecie pochwał, przyklaskując gorąco pierwiosnkom jego muzy. U Raheli zapoznał się Heine nietylko z wszystkimi znakomitszymi romantykami, lecz także z przedstawicielami różnych umiejętności.

Mniej przyjemności sprawiały mu zebrania hulaszcze odbywające się w kasynie Luttera i Wegenera, z początku pod przewodnictwem Ludwika Devrient i E. T. A. Hoffmanna, później pod komendą Grabbe'go, który przybył na wiosnę r. 1822 do Berlina. Heine, nie pijący nigdy, bywał tu rzadko.

Romansując i dysputując, zapomniał Heine o pandektach, które go nigdy nie wabiły. A nie musiał sobie żałować, bo już w Berlinie, już na progu młodości, dokuczały mu pierwsze zwiastuny straszliwej choroby, która go później wolno a tak okrutnie zabijała. Słabość ta nie mogła być skutkiem ani ubogiego życia, ani zbytniej pracy, gdyż pomoc stryja starczyła na przyzwoite utrzymanie, a usilnej, systematycznej nauki nie lubił syn Apollina, jak wszyscy jego bracia po lutni. Tylko miłość, uprawiana nadmiernie jako «rzemiosło», spowodowała owe niesłychanie przykre bóle głowy, które podkopywały wątłe od urodzenia ciało Heine'go.

Korzystniej, aniżeli przedwczesne rozbawienie się, podziałał na poetę wpływ kilku młodych izraelitów, noszących się z myślą zreformowania charakteru narodu «wybranego». Edward Gans, Zunz i Moser pracowali właśnie w owym czasie (między r. 1820 do 1824) nad Izraelem, z gorącą wiarą w osiągnięcie dodatnich skutków.

I Heine zapisał się na członka wymienionego wyżej (w roz. II.) stowarzyszenia, bywał na zebraniach, zapalił się nawet zrazu do jego celów, lecz sztuczny ten ogień zgasł szybko. Bo do wcielenia marzeń Gansa i jego kolegów, potrzeba było koniecznie jakiejś wiary pozytywnej, choćby tylko w abstrakcye i ideały, a młody Heine wierzył już wtenczas «jedynie w twierdzenie Pytagorasa i w królewsko-pruski landrecht», jak się sam wyraża (*Briefe aus Berlin*, tom VIII. str. 51).

W salonach słynnych żydówek berlińskich nie mówił nikt o religii i o tym podobnych «przesądach średniowiecznych.» Tam rozprawiano tylko o poezji, o życiu i użyciu, tam powtarzano za «oświeconymi» XVIII. w. bezbarwne frazesy, o «religii rozumu,» j c ochrzczono ateizm. Tam też podobało się Heine'mu bardzo. Ale w stowarzyszeniu Gansa i jego druhów myślano nad naprawą Izraela, pragniono nowych, dodatnich ideałów, któreby dźwignęły «naród wybrany» z toni upadku. A umysł Heine'go nie znosił jakiejkolwiek afirmacyi. Szyderca i bezwyznaniowiec nienawidził wszelkich religij pozytywnych wogóle. Rychło też wycofał się z «agitacji żydowskiej», choć żył i później z głównymi jej działaczami w ścisłej przyjaźni.

Daleko więcej zajęła Heine'go inna strona «kwestji semickiej.» Były to ograniczone prawa narodu «wybranego», których niesprawiedliwość rozumiał poeta, będąc w tem osobiście interesowanym. Pisze on w jednym z swych listów do Mosera (w r. 1823) następnie: «przyznaję się, że mógłbym się rozentuzjazmować w imię równouprawnienia obywatelskiego żydów... Lecz urodzony nieprzyjaciel wszelkich religij pozytywnych nie może być obrońcą wiary, która zaprowadziła pierwsza udręczenie ludzi, dolegające nam dziś tak bardzo.» Słowa te tłomaczą wyraźnie stanowisko Heine'go wobec sprawy żydowskiej. Rozumiał on tylko jej stronę społeczną, której skutki sam odczuwał. Gdyby się nie był urodził żydem, byłby bezwątpienia «żydożercą», gdyż i tak nie wielbił wcale rysów charakterystycznych plemienia, z którego pochodził. Gdzie tylko może, przypina Izraelowi łatkę. W jednym z swych pierwszych listów do Mosera z Lüneburga (w r. 1823) pisze między innemi: «żydzi są tu, jak wszędzie, nieznośnymi szachrajami i brudasami.» Miejsc podobnych znajduje się w jego pismach cały legion.

Ruch żydowski Berlina, choć Heine nie podzielał jego nadziei, oddziałał jednak na niego korzystnie, bo wyrwał go z owej grzesznej obojętności dla spraw społecznych, która krzywiła działalność romantyków.

Jeszcze jednem łożyskiem toczyło się ówczesne życie w stolicy nad Sprea. Berlińczycy bawili się, muzykowali, tańczyli, dysputowali o petrzebie równouprawnienia żydów, i — filozofowali. Hegel siedział właśnie w owym czasie na katedrze filozoficznej uniwersytetu berlińskiego. Kantowskie *das Ding an sich*, fichtowskie *Ich*, schellingowskie *die Weltseele* pochłonęła nowa nazwa. Wprawdzie bronił się jeszcze Hegel przed zarzutem ateizmu, tak samo, jak jego poprzednicy, lecz w rzeczywistości była jego «idea,» jego «pojęcie» ostatnim stopniem zakapturzonego monizmu. Potrzeba było tylko dobrze dmuchnąć, aby się ta cała budowa obłudnej, choć genialnej dyalektyki zapadła, rozkrywając swą właściwą wartość, swe jądro. Czynności tej dokonali bezpośredni następcy Hegel'a, a wtedy ujrzał świat najpospolitszy, nagi materyalizm. Heine, słuchacz Hegel'a, choć nie umiał ściśle myśleć, do czego się sam przyznaje, zrozumiał bardzo dobrze ducha wykładów mistrza. Mówi on później: «byłem młodym i dumnym i dlatego pochlebiało mej pysze, gdym się dowiedział od Hegel'a, że nie Pan Bóg, królujący w niebiosach, jak mniemała moja babka, lecz ja sam jestem Bogiem na tej ziemi» (tom XIV, str. 281, *Geständnisse*).

Nie trudno się domyślić, że Heine musiał być gorącym zwolennikiem i wielbicielem Hegel'a, choć całości systematu właściwie nigdy nie ogarnął, ani przeniknął. Szyderca i bezwyznaniowiec nie znalazł w mądrości znakomitego dyalektyka nic nowego, przyswoił sobie tylko jego metodę myślenia i wyrażenia się, zaostrzając jeszcze więcej wrodzoną «cięłość» swego pióra.

Rozbawienie się stolicy pruskiej w trzecim dziesiątku bieżącego stulecia, «marzenia» kilku światłych i szlachetnych żydów, choć nie wcielone dotąd, i filozofia Hegel'a, wpłynęły stanowczo na działalność pisarską Henryka Heine'go. Pożycie towarzyskie i ciągłe obcowanie z najznakomitszymi ludźmi owego czasu, rozwinęły daleko szybciej wrażliwy umysł poety, aniżeliby to sprawiły usilne studja fachowe.

Niewiele też zajmował się Heine i w Berlinie prawem, uczęszczając chętniej na wykłady filozoficzne Hegel'a i literackie znakomitego germanisty, von der Hagena. I nad Spreą nie wabiły go wcale kółka studenckie. W ścisłej przyjaźni żył tylko z młodym Polakiem, Eugeniuszem Brezą, w którego ojczyźnie (na wsi,

pod Gnieznem) przepędził nawet kilka tygodni (latem r. 1822). Owocem tych odwiedzin w krainie Lecha był szereg feljetonów, znanych p. t.: *Ueber Polen.*

Przeszło dwa lata przepędził Heine w Berlinie. Domyśliwszy się w końcu, że wesołe i gwarne życie nad Spreą oddala go coraz więcej od pierwotnego celu, od zdania egzaminów prawniczych, postanowił wrócić do jakiego małego miasteczka uniwersyteckiego, aby uczynić zadość woli swej rodziny. Wybrawszy się w maju roku 1823 na czas krótki do swych rodziców, którzy mieszkali wtedy w Lüneburgu, udał się już w lipcu do Hamburga z zamiarem zjednania sobie kieszeni stryja Salomona dla różnych fantazyj artystycznych. Na nieszczęście wyjeżdżał właśnie wówczas możny bankier do wód radząc to samo Henrykowi. Ponieważ poparł swą radę pieniędzmi, podążył poeta nad morze, do Cuxhaven, gdyż stargane jego nerwy potrzebowały rzeczywiście wzmocnienia i naprawy.

Biografowie poety winią Salomona Heinego o skąpstwo, robiąc z tego zarzut, że nie zaspakajał wszystkich kaprysów swego synowca. Bankier hamburgski był wprawdzie milonerem, lecz ponieważ dorobił się wielkiej fortuny tylko pracą i zdolnością finansową, przeto umiał grosz szanować. Obiecał łożyć na wykształcenie uniwersyteckie synowca, i nietylko danego słowa święcie dotrzymywał, lecz przedłużał nawet kilka razy termin, nie odmawiając na domiar od czasu do czasu większych zasiłków.

Lecz Henryk lubił się bawić i nie umiał żyć oszczędnie. Bardzo często kazał sobie przekazy stryja wcześniej wypłacać, a gdy się udało podejść czujność bogacza, nie zawahał się nigdy. I tak jadąc do Anglii (na wiosnę r. 1827), wziął od stryja oprócz pieniędzy na podróż, weksel na 400 funt. szterl. jedynie dlatego, «aby reprezentował godnie dom Heinych», co znaczyło, że nie miał tych pieniędzy wydać. Tymczasem, zaledwie stanął w Londynie, pojechał natychmiast do Rotszylda i kazał sobie przekaz czemprędzej wypłacić. Rozumie się samo przez się, że stracił wszystko do grosza.

Nikt nie będzie winił poety, zwłaszcza wychowańca epoki romantycznej, że nie umiał się liczyć, że lekceważył «mamonę» lecz trudno dziwić się z drugiej strony bankierowi, człowiekowi, przywykłemu do akuratności i rzetelności w interesach, że go wybryki rozrzutnego młokosa niecierpliwiły, a w końcu nawet gniewały. W tym razie byli obydwaj w porządku: i poeta i jego stryj. Poeta trwonił, a stryj zrzędził. Sam Henryk zrozumiał w wieku dojrzalszym, że krzywdził dawniej najstarszego brata swego ojca, i wyrażał się w drugiej połowie swego życia z prawdziwą miłością o miljonerze hamburgskim. Przeto nie mają biografowie poety żadnego powodu do utyskiwania na «sknerstwo kupca.»

Dziwić się raczej należy, że Salomon Heine nie zniechęcił się stanowczo do swego synowca, który się wcale skromnością nie odznaczał. Pewnego razu odezwał się np. po długiej perorze swego dobrodzieja temi słowy: «Wiesz stryju, co w tobie jest najlepszego? Oto to, że... nosisz moje imię». A liczył wówczas lat dwadzieścia kilka, więc nie mógł mieć jeszcze głośnej sławy, któraby go uprawniała do takiej niegrzeczności... Nie trzeba zresztą zapominać, że chłodny rachmistrz, jakim był Salomon, nie umiał wcale ocenić doniosłości talentu Henryka. A mimo to sypnął znów groszem, gdy się wyburczał. Był to człowiek uczciwy, rozumny i zacny, czego najlepszym dowodem, że obcował chętnie z swą ubogą rodziną, choć rozporządzał miljonami. Nikomu też z kuzynów swoich nie odmawiał pomocy, dzieląc się z wszystkimi swego życia dorobkiem.

Z wód morskich udał się Henryk do swych rodziców, do Lüneburga; następnie wypisał się dnia 18 stycznia 1824 z. z listy studentów berlińskich, i wrócił do Göttingen, gdzie zamierzał zdać egzamina prawnicze. Rzeczywiście pozbył się tej przykrej dla siebie formalności dnia 3 maja 1825 r. po sześcioletnich studjach uniwersyteckich. Publiczna obrona też w celu uzyskania godności doktora obojga praw odbyła się dnia 20 lipca. Na egzamin z doktoryzacyą przypada trzecia czynność, która Heine'mu, sprawiła jeszcze mniej przyjemności.

Był on dotąd żydem, ale jako taki nie mógł mieć w owych czasach nadziei zrobienia jakiejkolwiek karyery publicznej. Udając się do uniwersytetu, na wydział prawniczy, przygotował się z góry na konieczność przejścia do chrześciaństwa. Rodzina jego nie miała nic przeciw temu krokowi: owszem, stryj Salomon, choć się sam nie ochrzcił, powydawał córki swe za innowierców, nie krępując się, zwyczajem ówczesnych żydów cywilizowanych, takiem lub innem wyznaniem.

I Henryk nie należał do prawowiernych Izraela, lecz nie był także przyjacielem jakiejkolwiek innej religii pozytywnej. A mimo to nie miał odwagi dowieść czynem swych przekonań bezwyznaniowych, bo poddał się dnia 28 czerwca 1825 nienawistnej sobie ceremonii. Ochrzcił go superintendent, magister Grimm, w małej miejscowości pruskiej, Heiligenstadt, odległej o milę od Göttingen. Na chrzcie przyjął Heine, nazywający się dotąd «Harry», imiona: Krystyna, Jana, Henryka. Odtąd był dla świata «Henrykiem», lecz dla siebie pozostał «Harrym,» i rozgniewał się bardzo, gdy go wydawca podpisał pewnego razu na karcie tytułowej pełnem nazwiskiem chrześciańskiem: «Henryk Heine». Sam poeta kładł na swych książkach zawsze tylko skrócone: «H. Heine.»

Zdaje się, że dopiero akt chrztu podrażnił i przebudził w Heine'm uśpioną od dawna nienawiść żyda do chrześciaństwa. Wkrótce po odbytej ceremonii pisze on do Mosera: «Radzę ci przeczytać Gołowina podróż do Japonii. Przekonasz się z tej książki, że japończycy są najucywilizowańszym narodem na ziemi. Powiedziałbym nawet, że są ludem najwięcej chrześciańskim, gdybym się ku memu zdumieniu nie był dowiedział, że właśnie oni nienawidzą chrześciaństwa. *Chcę zostać japończykiem*! Nie cierpią oni najwięcej krzyża. *Chcę zostać japończykiem!*» W słowach tych słyszymy stłumioną przez wykształcenie nienawiść potomka talmudystów do chrześcian.

Albo w liście późniejszym do Moser'a: «Nie wiem co mam sądzić o wiadomości, której mi Kohen udzielił. Mówił mi on, że Gans chce nawracać dzieci Izraela do chrześciaństwa. Jeźli to czyni z przekonania, jest idyotą; jeźli z obłudy, to łotrem. Nie przestanę go wprawdzie kochać, lecz mimo to przyznaję się, że od powyższej milszą byłaby mi wiadomość, «że Gans ukradł srebrne łyżki...» Byłoby mi bardzo przykro, gdybyś pochwalał mój własny chrzest. Zaręczam ci, że *nie byłbym się ochrzcił, gdyby prawo pozwalało kraść srebrne łyżki...*»

Trudno znaleźć coś mniej szlachetnego w pismach człowieka, którego Opatrzność wyposażyła talentem pierwszorzędnym.

W spuściźnie pośmiertnej Heine'go znajduje się wierszyk p. t. «Odstępcy» (*Einem Abtrünnigen*). Dwie jego zwrotki końcowe brzmią następnie:

Und du bist zu Kreuz gekrochen,
Zu dem Kreuz, das du verachtest,
Das du noch vor wenig Wochen,
In den Staub zu treten dachtest.

O, das thut das viele Lesen,
Jener Schlegel, Haller, Burke, —
Gestern noch ein Held gewesen,
Ist man heute schon ein Schurke.

«I powlokłeś się do krzyża, nienawidzonego jeszcze wczoraj; powlokłeś się do krzyża, który zamierzałeś jeszcze przed

kilku tygodniami zetrzeć na proch. O, takie poniżenie jest skutkiem odczytywania dzieł owych: Schlegel'ów, Haller'ow, Burke'ow. Wczoraj było się bohaterem, a dzisiaj już jest szubrawcem».

Słusznie domyśla się Strodtmann (tom I. str. 408), że wiersz ten odnosi się do «odstępstwa» Gansa.

Z takiemi to uczuciami w sercu przechodził Heine do chrześciaństwa. Czytając jego wycieczki przeciw religii, którą przyjął jako... człowiek pełnoletni, więc świadomy tego, co czyni, chciałoby się uwierzyć współczesnemu fanatykowi żydowskiemu, prof. Grätz'owi, który twierdzi w swej «Historji żydów», że Heine został tylko dlatego chrześcianinem, aby «mógł tym lepiej zwalczać odwiecznego wroga Izraela».

Wolno było Heine'mu jako żydowi nienawidzieć wiary Chrystusowej; wolno było nawet potomkowi kupców spekulować chrztem, lecz trudno zrozumieć, jakiem prawem żąda autor powyższych listów i wierszyków, aby mu chrześcianie nie przypominali jego pochodzenia.

Ród żydowski przypomniał mu już w r. 1825 Wilhelm Häring w krytyce jego «Tragedji» (*Wiener Jahrbücher*), później hr. Platen, w końcu znaczna część recenzentów z czasów zwrotu przeciwko bluźnierstwu i cynizmom Heine'go po r. 1835. Nic nie pomogło, że poeta wyśmiewał żydów, że wyparł się publicznie swego pochodzenia (w «Journal des Débats», w numerze 7 z października 1835 r.). Utwory jego świadczyły ciągle przeciw jego orzeczeniom i publikacjom. Gans'owi nie przypomniał nikt początku izraelskiego, bo Gans był człowiekiem szlachetnym i działał zawsze konsekwentnie. Zostawszy chrześcianinem, nie ośmieszał wyznania, które przyjął dla chleba. Uzyskał też niebawem katedrę uniwersytecką.

.....«Nie jestże to śmiesznem? Zaledwo się ochrzciłem, a jużci krzyczą, że jestem żydem» — pisze Heine do Moser'a.

Niema w tem nic śmiesznego. Żydowi bowiem przebaczyłby bezstronny krytyk nienawiść do chrześcian, ale od świeżego przechrzty miał każdy prawo żądać aby uszanował religię, którą sobie sam..... wybrał. Żaden recenzent nie jest obowiązany do uwzględnienia nieszlachetnych powodów dokonanego odstępstwa.

Zbyt nieopatrznie obchodził się Heine z Bogiem, z ludźmi i z sobą samym. Nie posiadając sam przekonań osobistych, ani miłości w szerszem tego uczucia znaczeniu, nie wierzył w istnienie jakichkolwiek dodatnich stron ludzkości. Omylił się, Opatrzność ukarała go za lekkomyślność, bo chrzest nie przyniósł mu żadnych korzyści materjalnych, a potomni, choć oddali cześć prawdziwemu talentowi poetyckiemu, potępili jednak... człowieka.

Po uzyskaniu stopnia doktora praw, udał się Henryk Heine do wód morskich, Norderney, zkąd pojechał na kilka tygodni do swych rodziców, do Lüneburga. W pierwszych dniach października stanął w Hamburgu z zamiarem rozpoczęcia praktyki adwokackiej. Lecz mimo napomnień stryja, nie spieszył się wcale z otwarciem kancelarji. Młody poeta, nie znoszący pracy systematycznej, przenosił towarzystwo domów zabawy i małych teatrzyków, nad nudne twarze biurokratów i klientów. Wolał sobie hulać, niż spokojnie pracować. A liczni nieprzyjaciele, czychający ciągle na zgubę, donosili wszystkie plotki i drobne szkandaliki stryjowi Salomonowi, któremu się oczywiście rozwiązłe życie synowca nie mogło podobać.

Oprócz usłużnych kuzynów i kuzynek szkodzili poecie i cywilizowani żydzi hamburscy, przekształcający właśnie synagogę za przykładem swych współwyznawców berlińskich i królewieckich. Heine, «wróg wszelkiej religii pozytywnej,» drażnił wykształconych izraelitów, wyśmiewając się z ich «mrzonek». Żydzi nazywali go za to odstępcą, renegatem.

Gdy rodzina nalegała, aby się raz zabrał do jakiej zarobkowej pracy, odpowiadał Heine, że niema zamiaru uschnąć między aktami, że woli być docentem uniwersytetu, lecz mimo to nie czynił żadnych kroków, aby uzyskać *facultatem legendi*.

Nabawiwszy się do zbytku, udał się latem r. 1826 na wyspę Norderney, a ztamtąd do Lüneburga. W kwietniu 1827 r. pojechał na kilka miesięcy do Londynu, gdzie przysłuchiwał się pilnie rozprawom sejmowym. W sierpniu opuścił Anglię, spiesząc przez Holandyę po raz trzeci do Norderney, zkąd wrócił w wrześniu do Hamburga.

Heine był już wówczas autorem kilku dzieł, które mu wielki zjednały rozgłos, zwracając na niego uwagę znanego księgarza monachijskiego, barona Cotty von Cottendorf. Stary Cotta, wydawca Goethe'go i Schillera, odznaczający się «dobrym nosem», przeczuł w młodym autorze znakomity talent i dlatego zaprosił go do stolicy bawarskiej, pragnąc zużytkować świeżą siłę przy kilku dziennikach. Zrazu zatrudnił Heine'go tymczasowo, po kilku jednak miesiącach powierzył mu współredakcyą czasopisma p. t. *Politische Annalen*.

Lecz stałe zajęcie nie smakowało kapryśnemu poecie. Praca dziennikarska zużywa nietylko czas i twórczość, lecz wymaga przedewszystkiem odczutych przekonań społeczno-politycznych. Wprawdzie wyrobiły Heine'mu jego «Obrazy z podróży» sławę szermierza «liberalnego», w istocie jednak nie miał autor «Księgi pieśni» nigdy niewzruszonych zasad. «Moje interesa finansowe są zachwiane; mam długi, potrzebuje znów tego lata wyjechać do wód, a ponieważ wziąłem od Cotty wiele pieniędzy, chciałbym mu dać zato przynajmniej do każdego zeszytu «Annalen» kilka własnych kartek» — odzywa się Heine z naiwną szczerością do Merckel'a. Chodziło mu widocznie więcej o dukaty hojnego wydawcy, aniżeli o powodzenie pisma. W rzeczywistości zajmował się też bardzo mało «Rocznikami politycznemi,» które miał redagować razem z dr. Lindner'em.

Równocześnie, choć uchodził za jednego z gorliwszych przywódców budującego się liberalizmu niemieckiego, żył w dość ścisłej przyjaźni z niejakim Witem von Dörring, człowiekiem podejrzanej wartości, którego posądzono o szpiegostwo na korzyść rządu. Heine wiedział o tem, gardził owym Witem, a mimo to nie zrywał z nim stusunków, bo: (jak pisał do Varnhagena), «człowiek ten kompromitował go wszędzie, wskutek czego omijali go po pierwsze rewolucjoniści, a powtóre mniemały rządy, że nie jest tak złym, jak się wydaje. Bardzo mi to na rękę, mówi redaktor pisma liberalnego, opozycyjnego, w tym samym liście—gdyż *pragnę tylko mówić*.» Co znaczy: Heine chciał uchodzić za «obrońcę wolności», lecz nie miał wcale ochoty do ponoszenia skutków swej działalności publicznej. Przyjaciele berlińscy poety ganili go za taki brak charakteru męzkiego, a on odpowiadał im na gromy dowcipkami. Nawet Adolf Strodtmann, zacierający starannie i życzliwie wszystkie plamy w biografji Heine'go, nie może w tem miejcu powstrzymać swego oburzenia.

W tym samym czasie starał się Heine przez poetę Edwarda von Schenk'a, który był wówczas bawarskim ministrem spraw wewnętrznych o katedrę przy uniwersytecie monachijskim. Nominacya była już gotowa, lecz król Ludwik cofnął ją w ostatniej chwili, nie dając swego podpisu.

Na lato 1828 r. przypada podróż Heine'go do Włoch. Zimę r. 1829 przepędził poeta w Berlinie, wiosnę w Poczdamie, sierpień i prawie cały wrzesień u wód, w Helgolandzie, jesień i zimę następnego roku w Hamburgu, gdzie się zwyczajem swoim wcale nie oszczędzał, hołdując, jak zawsze i wszędzie, głównie bogini miłości. Za to szukał znów latem r. 1830 ulgi w kąpielach morskich. Sprzykrzywszy sobie nareszcie ciągłą włóczęgę i nudne życie w miastach niemieckich, odbył w maju r. 1831 ostatnią,

większą podróż na lat wiele, przenosząc się na stałe mieszkanie nad Sekwanę.

Dalsze daty biograficzne można krótką pominąć wzmianką, gdyż pobyt w Paryżu nie wpłynął już wcale na zmianę charakteru, lub twórczości autora «Obrazów z podróży» i «Księgi pieśni». Wyjeżdżając do Francji, był Heine umysłowo i etycznie już zupełnie sformowanym, a oddalenie się od kraju, musiało na jego talent podziałać raczej ujemnie, niż dodatnio.

Jak wszędzie, nie szanował Heine i nad Sekwaną swego już i tak nadwątlonego zdrowia. Żył sobie wesoło, nieopatrznie, aż zawinął w końcu do cichego portu małżeństwa. Rozkochał się on już roku 1835 bardzo namiętnie w pięknej, choć pospolitego umysłu francuzce, w Matyldzie Krescencyi Mirat, z którą mieszkał przez pewien czas razem bez błogosławieństwa kościoła. Ślub rzeczywisty wziął z nią dopiero 31 sierpnia 1841 r., krótko przed pojedynkiem z Salomonem Straus'em. W czasie swego pobytu w Paryżu wyjeżdżał dwa razy do Niemiec, a kilkanaście razy do różnych wód francuzkich.

Ciągłemu, a starannemu leczeniu się zawdzięcza Heine względne zdrowie, które mu aż do r. 1848 służyło. Wkrótce jednak po rewolucyi lutowej zapadł na dobre, a w maju położył się do łóżka, aby się z niego już więcej nie podnieść. Nieopatrzne, lekkomyślne życie zemściło się nad nim strasznie. Przez długich, krwawych lat ośm konał poeta, zdrowy i świeży na umyśle, a niemocny ciałem, jak niemowlę. Wycieńczony organizm ustawał w swej pracy stopniowo. Heine sechł żywcem, podtrzymywany tylko dobrym pokarmem i nadzwyczaj troskliwą opieką.

Zrazu otaczali łoże chorego liczni przyjaciele, uprzyjemniając mu bolesne niewymownie niedołeztwo. Lecz gdy się z jego słabością oswojono, wrócił każdy do swoich zajęć i uciech, zostawiając biedaka jego smutkowi i myślom. A nie wesołe musiały być myśli człowieka, który wiódł życie ruchliwe i hulaszcze, który rwał się nawet jeszcze w swym «grobie materaców» do świata, do ludzi, do zabaw. Wówczas-to, wśród bezsennych nocy, nędzny i samotny, przypomniał sobie Heine Boga swych ojców i «rozmawiał nieraz ze starym Jehową Izraela.»

Mówiąc dawniej o «odstępstwie» filozofa Schelinga, wyraził się Heine: «Niech się prawowierni radują, niech uderzają w dzwony i śpiewają Kyrye elejson z powodu takiego nawrócenia, bo dowodzi ono tylko, że się człowiek *skłania do religii, gdy się zestarzeje*, gdy nie może już ani używać ani myśleć. Niejeden umysł wolnomyślny nawrócił się na łożu śmierci. Ale nie chełpcie się z tego! Takie nawrócenia należą co najwyżej do patologii i świadczą za sprawą waszą wcale niepochlebnie. Dowodzą one tylko, że się wam nie udało nawrócić owych wolnomyślnych, dopóki chodzą na ziemi z zdrowemi zmysłami».

Dzienniki niemieckie rozgłaszały w roku 1849 powrót Heine'go do deizmu, lecz zdaje się, że to, co poeta wypowiedział z powodu «odstępstwa» Schelling'a, odnosi się także i do niego. Zanadto zatrute było jego serce, aby mogło ukochać idealne tęsknoty ludzkości; zanadto ujemny jego umysł polemiczny, aby mógł szczerze w coś dodatniego uwierzyć. Nie przekonanie osobiste, nie potrzeba wewnętrzna, lecz cielesna niemoc i bojaźń przed zakrytem jutrem, pchnęły go w objęcie deizmu.

Zdaje się, że i jego nawrócenie należy tylko do patologii. Przecież jeszcze kilka godzin przed śmiercią dowcipkował sobie po dawnemu, gdy go ktoś zapytał, czy się już z Bogiem pogodził? *Dieu me pardonnera* — odparł konający — *c'est son métier.*

W nocy z dnia 16 na 17 lutego 1856 roku wyzionął Henryk Heine swego buntowniczego ducha. W trzy dni potem wrócono jego zwłoki matce ziemi.

Garstka ziomków, przebywających chwilowo w Paryżu i gromadka autorów francuzkich otaczała w milczeniu trumnę zgasłego poety. Tylko Aleksander Dumas płakał głośno. Nie było mów, ani kwiatów, ani śpiewów.

> Nichts gesagt und nichts gesungen,
> Wird an meinen Sterbetagen

skarżył się kiedyś Henryk Heine.

Stało się, jak sobie przepowiedział.

V.

Henryk Heine jako uczony i krytyk.

„Szkoła romantyczna.“ — „Przyczynek do historyi religii i filozofii w Niemczech.“ — Materyalizm i bezwyznaniowość Heinego'. — Zmiana jego pojęć na łożu boleści. — Jego krytyki teatralne.

W chwili, kiedy Heine stanął na bruku paryzkim, odbywał się właśnie w literaturze nadsekwańskiej nowy przewrot. Tak zwani romantycy francuzcy, zachęceni książką pani de Staël pt.: «*de l'Allemagne*», pozbyli się lekceważenia, okazywanego przez ich poprzedników myśli i pieśni niemieckiej. Młodzi zapaśnicy zajęli się troskliwie badaniem filozofii i poezyi germanów.

Zrozumiawszy prąd chwili, postanowił Heine pośredniczyć między Niemcami a Francyą. W tym celu umieścił w r. 1832 kilka ustępów z swych «Obrazów» (z *Harzreise, das Buch le Grand, die Bäder von Lucca*) w *Revue des deux mondes*», a w r. 1833 napisał dla francuzów, na żądanie nowopowstałego czasopisma «*Europe littéraire*» swą pierwszą pracę treści poważniejszej. Była to charakterystyka niemieckiej szkoły romantycznej (tom VI. *Die romantische Schule*).

«Żadne względy tchórzliwe nie nakłonią mnie do omijania zwykłemi dwuznacznikami poglądów moich, odnoszących się do rzeczy boskich.» pisze autor w przedmowie do tej pracy (tom VI. str. 7). Słowa te zdradzają z góry koloryt polemiczny rozprawki, która miała być przedmiotowem studyum literackiem.

«Czemże była szkoła romantyczna w Niemczech» pyta Heine, (tom VI. str. 18) po krótkiej wzmiance o książce pani de Staël p. t.: «*de l'Allemagne.*»

«Była ona tylko odświeżeniem, odrodzeniem literatury średniowiecznej», odpowiada, a potem daje następne określenie chrześciaństwa, raczej katolicyzmu: «mówię o religii, której główne dogmata zawierają potępienie wszelakiej cielesności (*alles Fleisches*), i która nietylko przyznaje duchowi panowanie nad ciałem, lecz pragnie nawet zmysłowość zupełnie zniszczyć, aby duchowość podnieść; mówię o owej religii, której nienaturalne zadanie wytworzyło właściwie grzech i obłudę, gdyż pogarda ciała zamieniła najniewinniejsze uciechy zmysłowe na zbrodnię, a niemożność absolutnego uduchownienia, musiała zrodzić obłudę; mówię o owej religii, która stała się także wskutek nauki o pogardzie dobr doczesnych, o psiej pokorze i anielskiej cierpliwości, najtrwalszą podwaliną despotyzmu.»

Mimo tak surowego sądu, przyznaje jednak Heine chrześciaństwu racyę istnienia w przeszłości. «Chrześciańsko-katolickie pojęcia były potrzebne (str. 21) jako zbawienna reakcya przeciw straszliwemu materyalizmowi, który zapanował w państwie rzymskiem, grożąc duchowej świetności człowieka zupełną zagładą... Ciało stało się w tym świecie rzymskim tak bezczelnem, że mu się dyscyplina chrześciańska bardzo przydała. Po biesiadzie Trimalkiona okazała się konieczność kuracyi głodowej, podobnej do chrześciaństwa.»

Po takiej definicji istoty katolicyzmu, rzuca Heine kilka promieni światła na poezją średniowieczną, a nawiązawszy w ten sposób nić między przeszłością i teraźniejszością, przechodzi do romantyków niemieckich, których działalność rozbiera szczegółowo. Opisuje braci Schlegel'ów, Ludwika Tieck'a, zaznacza wpływ

Schellinga na wytworzenie się programatu poezyi romantycznej, poświęca kilka kartek: Hoffmann'owi, Novalis'owi, Brentano'emu, Arnim'owi, Janowi Pawłowi, Wernerowi, Uhland'owi, Fouque'mu, w końcu szydzi z germanistycznej erudycyi Wiktora Cousin'a. Mówiąc o Auguście Wilhelmie Schlegel'u (od str. 113—142) staje się tak «sumiennym», że nie zapomina nawet o najpokątniejszych plotkach. A przecież był kiedyś ten sam Schlegel, wówczas rozgłośny reformator literacki, profesor uniwersytetu, radca dworu, rożnemi orderami udekorowany dostojnik, życzliwym protektorem... ubogiego, nieznanego, młodziuchnego studenta. Za przyjaźń i radę wypłacił się Heine ośmieszeniem dziecinniejącego starca. Dlaczego? Bo Schlegel nie należał do bezwzględnych wielbicielów talentu swego dawniejszego ucznia, a Heine nie znosił najlżejszej, najbezstronniejszej krytyki. Jego subjektywizm szkodził mu nawet jako polemiście. Na ocenę literacką odpowiadał autor «Obrazów» zawsze niegodnemi wycieczkami osobistemi, na krytykę plotkami, zmyślonemi nawet dość często rozmyślnie. Od niego to nauczyli się dziennikarze «liberalni» owej niesłychanej namiętności w polemice, wdzierającej się do tajników ogniska domowego, obrzucającej każdego nieprzyjaciela błotem ulicy.

Ten grzeszny subjektywizm nie pozwolił mu także być przedmiotowym, choćby przez kilkanaście stronnic. Heine nie może wytrzymać; wtrąca on wszędzie i ciągle swoje uwagi osobiste lub dowcipy, obniżając w ten sposób oczywiście sam wartość prac naukowych, zyskujących niesłychanie na objektywnem przedstawieniu danych.

Określenie istoty romantyzmu niemieckiego przez autora «Obrazów» nie wytrzymuje krytyki. Heine był jeszcze sam zanadto romantykiem, aby mógł ocenić wszechstronnie swych mistrzów i bezpośrednich poprzedników. Zresztą nie rozumiał kosmopolita reakcyi patryotycznej, a bezwyznaniowiec i szyderca nie odczuwał tęsknot i marzeń rozbitków, pragnących w poezyi i w życiu więcej serca, więcej woni. Tło wieków średnich, którem się romantycy niemieccy posługiwali, było zrazu tylko formalną stroną ich programatu. A Heine nazywa dekoracye zewnętrzne całą zawartością kierunku.

Lecz mimo tych zasadniczych wad, trudno odmówić pierwszej poważniejszej pracy Heine'go rzeczywistej wartości. Przedewszystkiem przypomina świeży, barwny język i żywa, potoczysta dykcya, oryginalny styl «Obrazów». Tej zalety nie widzimy w korespondencyach z Paryża.

Powtóre, zasługuje i sama treść na uwagę. Wprawdzie nie znał Heine żadnej metody historyczno-literackiej lecz któż pracował wówczas z świadomością w tym kierunku? Wprawdzie nie odtwarzał ruchu literackiego swego czasu z ścisłością i systematycznością uczonego, lecz któż byłby go w Francyi czytał, gdyby się był wyrażał, jak profesor niemiecki? Przecież właśnie ciężka, nieprzyjemna forma odstraszała sangwiników nadsekwańskich od badań nad owocami pracy umysłowej germanów. Rozprawkę Heine'go przeczytał każdy francuz z korzyścią, bo nauczył się z niej daleko więcej aniżeli z książki pani de Stael.

Recenzenci, odmawiający «Szkole romantycznej» wartości naukowej, zapominają; że autor tej pracy był beletrystą, a jako taki nie miał obowiązku być sumiennym szperaczem. Beletryście wystarcza, gdy zrozumie i przedstawi ducha pewnej epoki, a z tego zadania wywiązał się Heine, jak na swój czas, bardzo dobrze. Jak na swój czas — bo kto był jeszcze sam romantykiem, nie mógł kierunku, z którego wyszedł, wszechstronnie ocenić. Lecz wykazując różnice między romantyzmem niemieckim a francuzkim, dokonał Heine bardzo wiele. Reszta — była rzeczą potomnych.

Głównie dla francuzów napisał Heine i drugą swą pracę poważniejszą p. t. «Przyczynek do historyi religii i filozofii w Niemczech» (*Zur Geschichte der Religion und Philosophie in Deutschland*), którą wydrukował w r. 1834 w «*Revue des deux mondes*» w zeszytach z 8 marca, 15 listop. i 15 grudnia). Wywodzi on bardzo trafnie filozofię z religii. Określiwszy po raz wtóry po swojemu istotę chrześciaństwa, zastanawia się obszerniej nad gusłami ludowemi wieków średnich. Z wielką sympatją odzywa się o Lutrze, a o Spinozie mówi z zachwytem (tom V. str. 124). Kanta nazywa grabarzem deizmu, a Hegla ostatnim przedstawicielem «rewolucyi filozoficznej» (str. 260), zrodzonej z reformacyi.

W pracy tej złożył Heine wyznanie wiary swej młodości, bo i tu nie umiał być przedmiotowym. Jak w «Szkole romantycznej,» wojuje i w «Przyczynku» z «przesądem, z obskurantyzmem i z wszelkim wrogiem wolnomyślności.»

«Idea chrześciańska (str. 41) ogarnęła niesłychanie szybko państwo rzymskie, niby choroba zaraźliwa. Przez całe wieki średnie trwały cierpienia, to gorączka febryczna, to zmęczenie, a my nowożytni czujemy jeszcze dotąd w członkach swych kurcze i osłabienie. Choć między nami już niejeden wyzdrowiał, to nie może się jednakże wydostać zupełnie z powszechnej atmosfery lazaretow, więc musi być nieszczęśliwym, jako jedyny zdrowy między samymi chorymi. Kiedyś, gdy ludzkość uzyska zupełne zdrowie, gdy nastanie pokój między ciałem a duszą, gdy te dwa pierwiastki będą się nawzajem w pierwotnej przenikały harmonii, wtedy nie będą ludzie nawet mogli zrozumieć sztucznego sporu, wywołanego przez chrześciaństwo. Szczęśliwsze, piękniejsze pokolenia, spłodzone w objęciach wolnego wyboru, w religii uciechy, uśmiechną się z żalem, przypominając sobie swych biednych przodków, którzy odmawiali sobie wszelkich rozkoszy pięknej ziemi...»

A na stronie 133 czytamy:

«Próba wcielenia idei chrześciaństwa poniosła, jak ostatecznie widzimy, stanowczą klęskę... Jeżeli znajdujemy się jeszcze obecnie jak wielu mniema, w epoce młodości naszego rodu, to należało chrześciaństwo do najdziwaczniejszych pomysłów studenckich ludzkości, ktore przynoszą daleko więcej zaszczytu jej sercu, niż rozumowi. Materyę, doczesność, powierzyło chrześciaństwo cezarom i żydowskim ich służalcom, zadawalniając się tem, że odmawiało pierwszym supremacyi, a drugich starało się poniżyć w opinii publicznej...»

Zaraz potem (str. 135) wołał Heine z zapałem:

«Daremne jednakże są wasze trudy! Ludzkość sprzykrzyła sobie wszystkie hostye i łaknie pożywniejszego pokarmu... prawdziwego chleba i pięknego mięsa. Ludzkość uśmiecha się z politowaniem, przypominając sobie swe ideały młodzieńcze, których nie mogła urzeczywistnić mimo wielu starań; staje się ona obecnie po męzku praktyczną. Ludzkość wyznaje teraz doczesny utylitaryzm, myśli naprawdę o wygodnem, dostatniem urządzeniu się, aby jej było dobrze na starość... Jest obecnie najbliższem zadaniem: wrócić do zdrowia, bo czujemy jeszcze wielką niemoc w członkach. Święte wampiry wieków średnich wyssały z nas tyle krwi żywotnej! A potem trzeba materyi złożyć wiele ofiar, aby przebaczyła swą dawną poniewierkę... Bo chrześciaństwo, niezdolne do zniszczenia materyi, poniżyło najszlachetniejsze uciechy, a w skutek tego powstało kłamstwo i grzech. Musimy nasze kobiety ubrać w nowe koszule i pojęcia, a nasze uczucia przewietrzyć, jak po przebyciu zarazy. Przeto powinna być rehabilitacya materyi, jej moralne uznanie, jej religijne uświęcenie, jej pogodzenie z duchem — najbliższym i najgłówniejszym celem wszystkich naszych prac i instytucyj.»

Bo gwałtowne rozłączenie tych dwóch pierwiastków, tworzących z natury swej jedność, spowodowało rozprzężenie umysłów, a w dalszym ciągu... zło. — A czemże jest owe zło w przekonaniu Heine'go? — Nic innego, tylko religia pozytywna.

Ale zło minęło z chwilą upadku wiary w Boga. Bo «nikt o tem nie mówi, — zapewnia Heine — a jednak wiemy wszyscy, że panteizm jest w Niemczech tajemnicą publiczną. Zaprawdę, wyzwoliliśmy się już z powijaków deizmu. Jesteśmy wolni i nie chcemy piorunującego tyrana. Jesteśmy pełnoletni, i nie potrzebujemy opieki ojcowskiej. Nie jesteśmy także fabrykantami wielkiego mechanika. Deizm jest religią dla niewolników, dla dzieci, dla genewczyków, dla zegarmistrzow», (str. 140).

Któżby tam dziś mówił o wierze w Boga? Chyba nikt! Starego Pana Panów dobił przecież ostatecznie filozof królewiecki, Imanuel Kant.

«Czy słyszycie głos dzwonka? Uklęknijcie, — bo oto podają właśnie sakramenta konającemu Bogu» (str. 178).

Tak kończy Heine drugą część «Przyczynku do historyi religii i filozofii w Niemczech.“

A cóż stanie na miejscu cnoty, etyki chrześciańskiej? — Cóżby innego, jeżeli nie bałwochwalcza cześć, składana u stóp materyi, jeżeli nie «religia uciechy», ów niestrawiony «helenizm» autora «Księgi Pieśni». A Boga, kto zastąpi? — Na co ludziom Bóg? Ludzkość nie potrzebuje już «piorunującego tyrana» — Obejdzie się ona bez niego bardzo dobrze. Cóż to? Czy dziećmi jesteśmy, genewczykami, zegermistrzami, abyśmy mieli wierzyć w «dziwactwa, w wybryki studenckie?»

Rozrzucone tu i owdzie myśli, spotkane już w «Obrazach,» wypowiedział i pogłębił Heine z pełną świadomością, lepiej — złośliwością, w «Szkole romantycznej“ i w «Przyczynku».

Urodzony wróg wszelkiej wiary pozytywnej, wyklucza z pojęć swego czasu deizm, stawiając na jego miejsce bezwyznaniowość. Urodzony wielbiciel «pięknego mięsa», nazywa etykę chrześciańską «ciężką chorobą...», zarazą.

Wartość literacka «Przyczynku» nie wytrzymuje porównania z «Szkołą romantyczną.» Czuć w tej pracy zmęczenie, jak w korespondencyach politycznych. Być może, że i trudniejszy przedmiot krępował autora lekkich obrazków,

Skuteczności podanej przez siebie recepty doznał Heine, jak wiemy, na sobie samym. Wcielał on bardzo gorliwie swe zasady w własnem życiu, składał u stop swego bożyszcza hojne ofiary, spożywał bardzo wiele tego «dobrego mięsa», tak wiele, że się tym specyałem aż... przejadł.

Orzekł on kiedyś sam, że: «znakomici mężowie działają nietylko swemi czynami, lecz także swem życiem prywatnem» (tom. VI. str. 285). Prywatne zaś życie Heine'go jest najwymowniejszą illustracją do jego zasad. Dowodzi ono bowiem, jak nie trzeba żyć, aby być szczęśliwym.

«Beznadziejność przeczenia» (*die trostlose Negation*) zrozumiał autor «Przyczynku» dopiero na łożu boleści. Gdy go straszliwa powaliła niemoc, gdy pokutował w «grobie materaców» za swe «zdrowe, trzeźwe poglądy», wtedy przypomniał sobie «piorunującego tyrana», i zrozumiał, że «człowiek jest rzeczywiście fabrykatem wielkiego mechanika.»

I załamał wowczas kruche, blade dłonie i skarżył się na «największego szydercę, który sobie z niego tak okrutnie zadrwił,» i uderzył się w piersi i odwołał wszystko, co pisał kiedykolwiek przeciw Panu Panów.

«Żadne względy tchórzliwe nie nakłonią mnie do omijania zwykłemi dwuznacznikami przekonań moich, odnoszących się do spraw boskich», wołał z pychą młodości w wstępie do «Szkoły romantycznej», a mimo to stchórzył dwadzieścia lat potem (*Geständnisse* z r. 1853, 54, tom XIV.) i przyznał się do tego, że błądził. «Ach, gdybym mógł wszystko zniszczyć, co pisałem kiedyś o filozofii niemieckiej!» — lamentuje (str. 288 i nast.)... «Przyznaję się wprost, że wszystko, co się w tej książce odnosi do Boga, jest zarówno fałszem, jak nierozważnem. Nierozważnem i fałszywem jest twierdzenie, które powtórzyłem za szkołą, jakoby deizm skonał w teoryi. Nie, nie jest prawdą, że krytyka rozumowa... położyła kres istnieniu Boga. Deizm żyje, żyje swem najżywszem życiem; on nie umarł, a najmniej zabiła go najnowsza filozofia niemiecka. Ta pajęcza dyalektyka berlińska nie może nawet psa z pod pieca wywabić, nie może zamordować nawet kota, a cóż dopiero Boga?»

Jakże smutnie wygląda to wyznanie skruszonego grzesznika obok efektownego frazesu: «czy słyszycie głos dzwonka? Uklęknijcie—bo podają właśnie ostatnie sakramenta konającemu Bogu.»

W prawomocnym i wykonanym później testamencie swoim z r. 1851 wyrzeka się Heine całej swej przeszłości: «Od lat czterech pozbyłem się pychy filozoficznej i powróciłem do idei i uczuć religijnych; umieram w wierze w jedynego Boga, wszechmocnego Stwórcę świata, którego błagam o miłosierdzie dla mej duszy nieśmiertelnej. Żałuję, że wyrażałem się w pismach swoich niekiedy o rzeczach świętych bez należytego uszanowania, lecz pobudzał mię do tego więcej duch czasu, aniżeli moje skłonności. Jeżeli zgrzeszyłem bezwiednie przeciw moralności i dobrym obyczajom, które stanowią prawdziwą istotę wszelkich religij monoteistycznych, to przepraszam za to Boga i ludzi».

Wobec takiego wyznania, wolno zapytać: wartoż było udawać przez długie lata bohatera, aby odwołać całą swą działalność publiczną, gdy nie można już... bawić się i używać? Gdy ktoś niema odwagi swych przekonań, wtedy nie powinien się społeczeństwu narzucać na przywódcę, na hasłodawcę. Rzekomy reformator, udający się «do Boga, kiedy trwoga», robi nadzwyczaj przygnębiające wrażenie, bo nie jest nawet postacią tragiczną. Można się nad nim tylko litować...

Materyalizm i bezwyznaniowość zemściły się na Heine'm bardzo pochwytnie. Ciężka jednak pokuta nie zmniejsza jego winy, bo któż wskrzesi tysiące ofiar, które zwiędły, zmarniały w kwiecie młodości, napiwszy się «słodkiej trucizny», sączącej z jego pism?

Heine zapomniał, że beletrysta powinien pracować daleko rozważniej od uczonego, bo przemawia do szerszego i wrażliwszego koła czytelników, aniżeli najgenialszy erudyt. Gorące, barwne słowo artysty działa doraźniej i silniej od spokojnego rozumowania. Jakąż wartość może mieć odwołanie na łożu śmierci? Pisma zdrowego, wesołego, dowcipnego poety pochłaniały tysiące, a skargi konającego lwa doszły do niewielu uszu.

Obiedwie swe prace poważniejsze wydał Heine w r. 1835 pod wspólnym tytułem «*De l'Allemagne*», przyłączywszy do nich rzecz o «Duchach i demonach» (*Elementar Geister und Dämonen*). Studya te przełożone przez samego autora na język niemiecki, pomieszczono później w V., VI. i VII. tomie zbiorowego wydania (*Ueber Deutschland*).

Daleko ściślejszym, aniżeli w obszerniejszych rozprawach, jest Heine w kilku krytykach, pisanych w różnych czasach. Widocznie odpowiadały węższe ramy właściwości jego talentu, lubującego się w fragmentach. Ocena tragedyi W. Smetsa «Tasso» (Tom XIII. str. 204—240) należy do najlepszych recenzyj teatralnych ówczesnej literatury niemieckiej. Należy żałować, że Heine nie pracował w tym kierunku więcej. Wrodzony bowiem dowcip ułatwiłby mu wszelką krytykę.

VI.

Henryk Heine jako nowellista i dramaturg.

„Rabin z Bacharach.“ — „Z pamiętników pana Sznabelewopskiego.“ — „Noce florentyńskie.“ — „Almanzor.“ — „William Ratcliff.“

Wrażliwy umysł Heine'go zachwycił się na czas krótki w Berlinie «sprawą żydowską.» Pozostając w blizkich stosunkach z kil-

ku szlachetnymi młodzieńcami (Gans, Zunz, Moser i inny), którzy marzyli o wewnętrzem odrodzeniu Izraela, nasłuchawszy się ich rozmów, przejąwszy się ich zasadami, postanowił i późniejszy autor «Księgi pieśni» dorzucić do ówczesnej pracy «młodej Palestyny» własną cegiełkę.

Tą cegiełką miała być powieść szerszych rozmiarów p. t.: «Rabin z Bacharach» (*Der Rabbi vom Bacharach. Ein Fragment*, tom IV.).

Młodziuchny autor zamierzał w tym utworze odmalować obraz niedoli żydów średniowiecznych. Czytelnicy chrześciańscy mieli odczuć krzywdę, którą przodkowie ich wyrządzili wygnańcom jerozolimskim. W liście do Moser'a (z października 1824 r.) pisze Heine: «Z niewysłowioną miłością noszę to dzieło w sercu. Powstało ono przecież całe z miłości, a nie z próżnej chciwości sławy... Lecz właśnie dlatego będzie to książka nieśmiertelna: niby wieczna lampa w kościele Boga...»

Wierzymy, że powyższe słowa wypłynęły z prawdziwego przekonania, Heine nie zatruł się jeszcze wówczas rozwiozłem, życiem i nie spysznia rychłą a tanio nabytą sławą. Dwudziestokilkoletni pisarz nie potrzebował jeszcze kokietować z popularnością, której nie miał, ani udawać trybuna ludu i wielkiego polityka, co później kierunek jego twórczości skrzywiło. Wszakże pochodził i on z owego wzgardzonego, prześladowanego, plemienia, wiodącego życie tułacze od kilkunastu wieków. I jego ojciec wylewał łzy nad zdeptaną przez legiony cezarów Jerozolimą. Nic dziwnego, że młode, niezepsute serce poety drgnęło wielką boleścią na widok poniżeń narodu, ktory się sam nazywał wybrańcem Jehowy.

I rzeczywiście wieje z kilkudziesięciu kartek «Rabina z Bacharach» cichy smutek dalekiego potomka, żalącego się nad nędzą swych ojców.

Rabin Abraham ożeniony z piękną Sarą, jest wzorem kapłana żydowskiego i prawdziwym ojcem swej gminy. Rozumny, wykształcony, bogaty, przyświeca swym współwyznawcom dobrym przykładem i pomaga im zdrowemi radami. U niego zbierają się bliżsi i dalsi krewni a powinowaci, bo dom jego stoi dla wszystkich otworem. U niego odbywają się uroczystości narodowe, główne zaś święto Paschy w miesiącu Nissen.

I dziś roi się dom rabina, jak ul, bo właśnie przypada dzień Paschy.

Kapłan siedzi na miejscu wywyższonem, na wysłaniu purpurowem i czyta i śpiewa Agadę. Obok niego spoczywa Sara, wpatrzona w swego małżonka a pana. Goście słuchają uważnie i wtorują chórem, gdy potrzeba. Wtem otwierają się drzwi i do sali wchodzi dwóch obcych.

«Pokój z wami, — mówi jeden z nich — jesteśmy w podróży i pragniemy przepędzić w gronie waszem święto Paschy.» A rabin odpowiada spiesznie i uprzejmie: «Pokój w wami, usiądźcie obok mnie.»

Przybysze spełniają wolę gospodarza, który czyta dalej. Nagle spostrzega Sara, że małżonek jej blednie i sinieje, że drży na całem ciele. Trwa to jednak tylko przez chwilę. Po kilku sekundach ożywia się znów twarz Abrahama. Staje się on teraz niezwykle wesołym, a nawet dowcipnym. Goście śmieją się i bawią. Zdziwiona tą wesołością poważnego zwykle kapłana, przypatruje się Sara swemu mężowi z wielkim niepokojem. Złowrogie przeczucie nie omyliło jej. Gdy bowiem nastaje czas wspólnej wieczerzy, chwyta ją mąż za rękę, wybiega z nią z domu, i spieszy przez puste ulice, za miasto.

Dopiero nad brzegiem Renu zatrzymuje się.

— Mężu, co tobie jest? — woła Sara.

— Czy widzisz anioła śmierci? — mówi Abraham. Patrz, on unosi się tam w dole nad Bacharachem. Ale nas nie dosięgnie już jego miecz. Jesteśmy ocaleni.

Owi dwaj goście nie byli żydami. Byli to źli ludzie, przebrani chrześcianie, którzy przyszli do bogatego rabina, aby podrzucić u niego krwawego trupa niemowlęcia. Trupa pokażą swym współwyznawcom, a ci, mniemając, że żydzi zabili dziecinę chrześciańską na swe święto wielkanocne, rzucą się na zaułki, zamieszkane przez Izrael, i zniszczą je ogniem i mieczem, Abraham dostrzegł podstępny uczynek i dlatego zbladł tak nagle. Niema już po co wracać do miasta; trzeba uchodzić przed głupstwem i nikczemnością innowierców.

Małżonkowie siadają do łodzi i płyną Renem do Frankfurtu nad Menem. Przybywszy tu, udają się do dzielnicy żydowskiej i wstępują nasamprzód do bóżnicy. Wychodząc z świątyni, spotykają rycerza hiszpańskiego, don Izaaka Abarbenela...

Na tem kończy się «Rabin Bacharach,» który miał być «książką nieśmiertelną», a został tylko fragmentem (drukowanym jako taki w r. 1840), jak wiele innych prac Heine'go.

W liście do Mosera (z lipca 1824 r.) pisze autor między innemi: ..... przy tej sposobności miarkuję także, że nie mam talentu do opowiadania.» Nie na brak talentu epicznego chorował Heine przez całe życie, lecz nie posiadał on nigdy dosyć cierpliwości do wykończenia większej kompozycji. Drobne pieśni i szkice udawały mu się zawsze, ale ilekroć zamierzał jakiś pomysł na szerszych rozpiąć ramach, upadał w połowie drogi. Szkodził mu w tym względzie nadmierny subjektywizm i brak ustalonych, dodatnich poglądów na świat i życie ludzkie. Bezwzględne przeczenie nie umie przeprowadzić wynikliwie czy motywu, czy charakteru do samego końca utworu, a nie krępujące się niczem «ja», przerywa ciągle przędzę techniki artystycznej. Heine nie umiał być przedmiotowym, i dlatego nie mógł napisać ani nowelli, ani powieści. Do «Rabina z Bacharach» wracał po kilka razy przez trzy lata, a mimo to skończył tylko ekspozycyę.

Zresztą nie przypadał sam przedmiot do właściwego jego talentu. «Tak jestem poganinem — mówił Abarbanel do Abrahama Tom IV. str. 75) — i czuję wstręt zarówno do suchych nie lubiących uciechy hebrajczyków, jak do ponurych nazareńczyków, kochających się w przeróżnych udręczeniach.... Serce moje pozostało życiu wierne.» Nie mamy prawa domyślać się dalszego ciągu urwanej na samym wstępie powieści, lecz zdaje się że się nie omylimy, przypuszczając, że właśnie ten don Izaak byłby w samej osnowie główną postacią utworu, a wtedy przemawiałby ustami Heine'go... zwolennika rzekomego helenizmu.

Poważny, szlachetny motyw nie był rzeczą Heine'go, a szersza kompozycja przechodziła możność jego talentu. A szkoda bo taki «Rabin z Bacharach», gdyby go autor był umiał wykończyć, byłby zaważył cetnarem na szali ostatecznego sądu krytyki. Jako fragment zaś, jako nieudała próbka nie może mieć dla potomnych żadnej wartości.

To samo odnosi się do drugiej pracy nowellistycznej Heine'go, do pamiętników pana Sznabelewopskiego» *Au dem Memoiren des Herrn Schnabelewopski*, 1831; tom IV.).

Pan Sznabelewopski, Polak, poznańczyk pochodzący z okolicy Gniezna jest synem dziedzica Sznabelewopsu. Matka jego nazywała się Wlssruska, sługa... Swurtszka itd.

Ten sam Sznabelewopski jest młodzieńcem, którego ojciec wysyła w świat, w podróż, aby się uczył i ludziom przypatrywał. Rusza więc do Hamburga.

Lecz już na wstępie podróży swego bohatera zapomina autor o nim i bawi czytelnika opowiadaniem swych własnych przygód hamburgskich, dowiadujemy się, w jakiem towarzystwie przebywał, gdy przyjeżdżał na wakacye do stryja Salomona, i poznajemy kilka kapłanek owej «religii uciechy».

W dalszym ciągu przypomina sobie Heine Sznabelewopskiego, zawozi go do Hollandyi, lecz i tu przemawia przez usta Polaka sam autor. Rzecz kończy się nagle, bez powodu. Zamykamy książkę nie widząc celu tego utworu. *Cui bono?* pytamy, napisał Heine tę niesmaczną ramotę. Ani to powieść, ani nowella, ani felieton, ani artykuł polemiczny. Gdzie słyszał w Polsce o nazwiskach, złożonych z samych spółgłosek? Nawet Czech musiałby «kichnąć», gdyby miał wymówić... Wlrssruska.

Jeżeli się Heine potrzebował zwyczajem swym wyspowiadać koniecznie szerszej publiczności z własnych awanturek i skandalików, to mógł się po raz wtóry przekonać, że ludzie nie lubią, gdy ktoś przekracza wszelkie granice przyzwoitości. «Pamiętniki pana Sznabelewopskiego» zaszkodziły mu bowiem jeszcze więcej od polemiki z Platen'em. Czytelnicy niemieccy kochali autora «Księgi pieśni», a odwracali się zawsze od cynika i lubieżnika.

Talent lekkiego, wdzięcznego gawędzenia zabłysnął dopiero w trzeciej pracy nowellistycznej Heine'go, w «Nocach florentyńskich» (*Florentinische Nächte* z r. 1836, tom IV).

Signora Marya dogorywała powoli. Choroba trawi jej wiotkie, piękne ciało. Lekarz zakazał jej: ruszać się, mówić, pytać. Dlatego siedzi przy niej młody Maksymilian i bawi ją opowiadaniem. Zaczyna on od pierwszego z brzegu przedmiotu i wysnuwa z niego drżącą, srebrną nić, podobną do promieni księżycowych. Mówi chorej o swej miłości do posągów marmurowych, później do obrazów malowanych, w końcu o swej namiętności do żywej kobiety, do tancerki ulicznej Laurence.

«Niebieski kwiat» romantyków zdaje się wyglądać z każdej stronnicy «Nocy florentyńskich.» Czujemy jego woń i upajamy się nią. Nad całością wieje jakiś cichy, tajemniczy szmer, niby oddech żalu lub tęsknoty.

Kochania młodości przypominały się Heine'mu w chwili, kiedy pisał «Noce florentyńskie.» Musiał on wtedy nie słyszeć wrzawy politycznej, a być tylko sobą, tylko poetą... romantykiem.

«Noce florentyńskie» są obok pierwszych «Obrazów» jedyną prozą poetycką Heine'go, która nie przeminie.

Czwartej robótki belletrystycznej (*Der Thee, Eine Humoreske*), nie warto nawet wymienić.

Nie można się rozstać z utworami Heine'go, napisanemi prozą, nie zastanowiwszy się nad jego stylem. Każdy piszarz oryginalny przynosi na świat własny, odrębny sposób wyrażania się, będący naturalnym wynikiem jego myślenia i czucia. Charakter podniosły i bohaterski (jak Schiller) przemawia zawsze z koturnów; człowiek poważny i wytrawny (jak Goete), pisze długiemi, misternie zaokrąglonemi zdaniami; autor stałych przekonań (jak Borne) posługuje się dykcyą krótką, jędrną, dobitną, jakby rozkazującą.

Heine nie był ani podniosłym, ani poważnym, ani nieugiętym. Jak w życiu, tak przenosi się on i w swych pismach z kwiatka na kwiatek, z przedmiotu na przedmiot, z pojęcia na pojęcie, lekki, lekkomyślny, nieopatrzny i niestały, podobny więcej do francuza, niż do niemca. Styl jego lśni i iskrzy się, biegnie i spieszy się, coraz dalej a dalej, nie troszcząc się wcale o przepisy składni; przyjemny, miły, pieszczący ucho, lecz rzadko prawidłowy. Często pomieszcza Heine w jednem zdaniu dwa, a czasem nawet więcej podmiotów, nie wiążąc następnika z poprzednikiem. Dlatego sprawia przekład jego pism wielkie trudności.

Oprócz tego kocha się Heine w dziwacznem zestawieniu przysłówków, przymiotników i rzeczowników. *Schnauervoll innig*; *mütterlich einlullend*; *hastig aufwekend*; *grausige Verzerrung*; *bedeutungstief*; *viehlhändig beschäftigt*; *kirchlich langgezogen*; (z «Rabina z Bacharach»); *sehnsüchtig schlaue Lippen*; *kleine ängstliche Brüste*; *wehmütig dumm*; (z Pamiętników pana Sznabelewopskiego»); *sehnsüchtige Misthaufen*; *ein hastig grüner Leibrock*; *geistreiche Hüften*; *ängstliches Violett* itd. — oto ulubione kombinacye Heine'go. Są to barbaryzmy językowe, bo jak można powiedzieć: tęskna gnojówka; rozżalenie, smutno cienki; gienialne biodra, trwożny fiotet; tęskno podstępne usta itd. Heine dbał wiele o efekt, o pozorny blask rakiet stylistycznych, które oślepiały rzeczywiście ludzi, nieumiejących krytycznie czytać. Nawet autorowie przyswajali sobie to dziwactwo, wyglądające na pozór bardzo oryginalnie.

Pominąwszy jednak te drobne usterki, raczej rozmyślne wybryki, trzeba Heine'mu przyznać, że należał do najlepszych stylistów niemieckich. Ale nie wszędzie przejawiał się ten dar. Lekki, kapryśny, cięty styl, nadawał się tylko do szkiców lub polemik. W korespondencyach politycznych z Paryża i w «Przyczynku» nie poznajemy swawolnego, lecz genialnego prozaika «Obrazów».

Najświetniej rozwinął się styl Heine'go w dwoch pierwszych seryach «Obrazów» i w «Szkole romantycznej». Polityka i uczoność krępowały polot jego pióra.

Ciąg dalszy nastąpi.

TRZECI MĄŻ.

(„Le troisième mari").

Miałam dwóch mężów... Niech im Bóg świeci,
Lecz byli bardzo źli!..
Mam dziś trzeciego... ale ten trzeci
To już przedemną drży...
Dzięki losowi — jam wyższa głową
I siły mi nie brak:
Więc — skoro tylko piśnie choć słowo, —
Wnet na łysinę czepek się kładnie —
I mówi się mu tak:
Cicho!.. Sza!.. Cicho!.. Milcz, mały Janku,
Najmniejsza z wszystkich much!..
Ani mru! mru!.. bo będzie nieładnie!..
Ja się na tobie mszczę, mój kochanku,
Za nieboszczyków dwóch!..

W niedługim czasie po naszym ślubie
Bóg dał pociechę mi...
Gość się pospieszył — kłamać nie lubię —
Coś o miesięcy trzy...
Skrzywił się Janek, że już tak rychło,
Urodził mu się syn...
Lecz, biedaczysko, zaraz ucichło...
I nawet kosztów nie żałowało
Dla sutych bardzo chrzcin...
Bo rzekłam: cicho!.. sza!.. mały Janku,
Najmniejsza z wszystkich much!..
Ani mi piśnij, gdy chcesz wyjść cało!..
Milczeć!.. To ja się mszczę, mój kochanku,
Za nieboszczyków dwóch!..

Kiedyś — jednego z moich... przyjaciół,
Kiedy się mocno zgrał,
Chciałam ratować... Janek się zaciął —
Napadł go jakiś szał:
Ani rusz nie chce dać mi ni grosza...
I biórko zamknął sam...
I klucz przechował... Lecz ja — odkosza
O, — nie przeniosę!.. Myślę więc...: czekaj,
Jaż ci dopiero dam!..
Jak krzyknę tedy: ty, mały Janku,
Najmniejsza z wszystkich much!..
Co ty to myślisz?!.. Klucz i uciekaj!..
Oddał!.. To ja się mszczę, mój kochanku,
Za nieboszczyków dwóch!..

Tenże... przyjaciel... u mnie z wieczora
Był... na gawędce raz...

Wtem Janek puka... Wołam, żem chora,
Że wchodzić już nie czas...
Zdało się poszedł... Lecz o północy,
Gdy mój wychodził gość,
Mąż mu na przełaj skacze jak z procy...
Długo czatował snać biedaczysko,
Bo przemarzł, niby kość!..
Chciał hałasować... Lecz ja: precz, Janku,
Najmniejsza z wszystkich much!..
Nie rób awantur, bo będzie ślizko!..
Idź spać!.. To ja się mszczę, mój kochanku,
Za nieboszczyków dwóch!..

Za to nawzajem — u mej kucharki
Zastałam Janka raz...
Snać podochocił kielichem starki,
Bo aż na stołek wlazł,
By się popieścić ze starej brodą...
Trunek działał tak,
Że mu się zdała piękną i młodą!..
Więc — pogładziłam go po łysinie,
Choć zemsta szła na wspak, —
I rzekłam: baw się, baw, mały Janku,
Najmniejsza z wszystkich much!..
Pozwalam takiej cacy chłopczynie,
Bo się na tobie mszczę mój kochanku,
Za nieboszczyków dwóch!..

Ale i Janek przyda się czasem,
Chociaż malutki człek:
Tylko na niego napaść z hałasem, —
On służyć będzie wiek...
To też ja nieraz, w ważnej potrzebie,
Gdy przyjaźń zdradzi mię, —
Mówię mu: Janku!.. liczę na Ciebie!..
A więc mój biedak, choć spoczął mało,
Do służby wnet się rwie...
Bo dalej prawię: staraj się, Janku,
Najmniejsza z wszystkich much..!
Służyć mi trzeba, ileć sił stało,
Boś mi nagrodzić winien, kochanku,
Za nieboszczyków dwóch!..

Z Beranger'a **L. Kozłowski**.

CZYSTA KIESZEŃ.
(„L'homme rangé").

Gderzą na mnie moi krewni
Że się nie bogacę...
Ja im śpiewam: bądźcie pewni,
Staruszkowie moi gniewni —
Ja z zasady tracę:
Bo to rzecz jest oczywista,
Tra-la-la-la-bam!...
Ze, gdy człeka kieszeń czysta, —
Z wielu względów on korzysta,
Bo czyściejszy sam!..
U mnie — czysta!..
Oczywista,
Zem ja czysty sam!...
Tra-la-la la-bam!..

Ktoś posiada skrzynię złota, —
Ale więcej żąda:
Więc się babrze w zbiorze złota,—
Co tam honor, co tam cnota!..
On się nie ogląda!..
A już rzecz jest oczywista,
Tra-la-la-brzdąk!..
Że u kogo kieszeń czysta,
To, choć w kułak sobie śwista,
Lecz nie wala rąk!..
U mnie czysta:
Oczywista,
Że nie walam rąk!..
Tra-la-la-la-brzdąk!..

Ten, za złoto dobrze jada,
Pieści podniebienie...
Lecz nastąpi rejterada,
Gdy majątek ojca, dziada,
Połknie, jak jedzenie!..
A wszak rzecz jest oczywista,
Tra-la-la-la-hej!..
Że u kogo kieszeń czysta, —
Z suchej kaszy ten korzysta,
Więc przejada mniej!..
U mnie czysta,
Oczywista —
Ja przejadam mniej!..
Tra-la-la-la-hej!..

Ktoś w ruletę złoto puszcza:
Swierzbią go kieszenie!..
A gdy zgrał się, — łotrów tłuszcza
Wnet szalbierstwo mu wyłuszcza,
By odzyskał mienie...
A już rzecz jest oczywista,
Tra-la-la-la-ho!..
Że u kogo kieszeń czysta,
Ten majątku nie prześwista,
Ten się nie zna z grą!..
U mnie czysta,
Oczywista:
Ja się nie znam z grą!..
Tra-la-la-la-ho!..

Skoroś posiadł złota wiele, —
Adieu, przyjaźń szczera!..
Chmarą zlecą przyjaciele,
Każdy z nich pochlebia śmiele,
Lecz w kieszeni szpera!..
A wszak rzecz jest oczywista
Tra-la-la-la-fiu!..
Że u kogo kieszeń czysta,
To sam djabeł nie skorzysta,
Nie wyszpera tu!..
U mnie czysta:
Oczywista —
Nikt nie szpera tu!..
Tra-la-la-la-fiu!..

Pewien panicz dla kochanki
Traci fundusz spory...
Ale o tem niema wzmianki...
Że ja właśnie spędzam ranki
Tam, gdzie on wieczory!..
A więc rzecz jest oczywista,
Tra-la-la-la-dzeń!..
Że u kogo kieszeń czysta,
Ten i gratis gdzieś skorzysta,
I to w biały dzień!..
U mnie czysta
Oczywista,
Że wybrałem dzień!..
Tra-la-la-la-dzeń!..

Więc nie gderzcie, mili krewni,
Ze się nie bogacę,
Staruszkowie moi gniewni!..
Po co zrzędzić? — Bądźcie pewni,
Ja z zasady tracę,
Bo to rzecz oczywista,
Tra-la-la-la hoc!..
Ze u kogo kieszeń czysta,

To, choć w kułak czasem śwista,
Lecz ma uciech moc!..
U mnie czysta
Oczywista,
Ze mam uciech moc!..
Tra-la-la-la-hoc!..

Z Beranger'a, **L. Kozłowski**.

Uniwersytet w Frajburgu Bryzgowskim.

ZE WSPOMNIEŃ LAT UBIEGŁYCH.

Ciąg dalszy.

Wszystkie te stowarzyszenia jednak, jakiegobądź rodzaju, ożywia duch koleżeństwa i solidarności. Nie mówię tu o związkach różnych uniwersytetów ze sobą im Cartel stojących, tj. takich, do których ich członkowie, w razie udania się na odnośną akademią, nawzajem przystępują, (np. różne Rhenanje, Frankonje między sobą, albo znów Burszenszafty, lub Landsmanszafty np. Helwecja między sobą), ale dość jest być studentem, aby być uprawnionym do żądania wszelkiego rodzaju pomocy, na ktorymbądź uniwersytecie. Wszędzie znajdzie każdy kwaterę, wikt, a nawet w razie potrzeby i pieniądze na drogę. Niejeden z naszych rodaków w trudnem położeniu będący korzystał z tej tak skutecznej gościnności. Solidarność studencka i z nią połączony punkt honoru znajdują też powszechne uznanie. Szwajcarowie w Frajburgu niemający funduszów, a zmuszeni podczas wojny Sonderbundu wszyscy razem wrócić do kraju, za kilkaset reńskich zastawili tarczę herbową swego towarzystwa. Chętnie i bez procentu pożyczył im je właściciel gospody, bo wiedział, że owa na tekturze malowana tarcza daje mu dostateczną gwarancyą. Gdyby nie była wykupioną, żaden Szwajcar nie mógłby studyów więcej odbywać w Frajburgu.

Wyczerpawszy rzecz o wszystkich trzech gatunkach niemieckich studenckich towarzystw należy mi przejść teraz do wskazania jak się względem nich zachowywali Polacy, jak żyli na tamtejszych akademiach.

Radbym bardzo jednak pierwej o polskich uniwersytetach coś wspomnieć, lecz z przykrością wyznać muszę, że ani odnośnie do średnich wieków, ani do nowszych czasów żadnej w tej mierze nie posiadam wiadomości. Wileńscy Promieniści, Filareci i Filomaci i również tamtejsi szubrawcy są znani dostatecznie z opisów osób, które do tych stowarzyszeń należały. Na warszawskim uniwersytecie przed r. 1830 chwilowo istniało towarzystwo «Stasiów», było to kołko lekkomyślnej młodzieży. I na tem koniec.

Polonie w Niemczech istniejące dawniejsze przed r. 1848, a głównie po mniejszych uniwersytetach były w przyjaźni z Helwecyami i z Burszenszaftami. W Wrocławiu nawet w pewnym stosunku z tamtejszym Burszenszaftem die Ratschek [1]) Niemcy nosili amarantowe czapki ze złotym, a Polacy ze srebrnym haftem gałązki dębowej. Zwykle nie miewali oni statutów, ani prezesa, a na zebraniach każdy po kolei przewodniczył. W nowszych czasach wszędzie, a w Berlinie od dawna Polonia stroniła od Niemców, miała swą bibliotekę, lub czytelnię, albo prócz tego towarzystwo bratniej pomocy. Zdarzało się także, iż według politycznych przekonań, na dwa obozy się dzieliła.

Dawniejsza Dorpacka Polonia najbardziej przyjęła niemieckie zwyczaje. Ślad tego pozostał w kilku studenckich pieśniach na polski język przetłomaczonych, z których tylko dla przykładu następujące przytaczam; jedna z nich brzmi:

Napijmy się wina
Jeszcze jeden raz,
Wybiła godzina
Pożegnania was.

Rzucam domu progi
I drzew luby cień;
Mnie pędzi los srogi
W daleką przestrzeń.
Przestrzeń. [2]) itd.

lub owa druga:

Ja byłem młodym chłopięciem,
Kiedy podróż przedsięwziąłem;
Lecz kto wyjechał cielęciem,
Ten zwykle powraca wołem itd. [3]).

Śpiewy studenckie albo są na głosy i ze solami, albo ogólne unisono. Oprócz pieśni (Lied) śpiewają także kwodlibety, tj. każdy po kolei śpiewa według woli i upodobania zwrotkę jakowej pieśni, albo są kolejki, (Rundgesang), to jest takie, że wszyscy razem zwróceni do jednego śpiewają jakoweś wezwanie do wypicia jego szklanki, następnie w tenże sposób do drugiego się zwracają i tak dalej póki kolej wszystkich nie obeszła. Ten rodzaj nawet przyjął się w Dorpacie, czego dowodzi następująca tam ułożona, a niemiecką naśladująca kolejka:

Złączmy nasze przyjacielskie dłonie,
W tem tak miłem, — w tem tak miłem gronie,
Ile kropel ta szklaneczka kryje,
Tyle latek niech nasz Jakób, (Józio, Michał) żyje!
Wypił, wypił, nic nie zostawił,
Bodajże go Bóg błogosławił [4]).

Na możebną uwagę, że cytowane utwory nie są arcydziełami, a mianowicie że wyraz «Bodaj» pochodzi od «Bóg daj»,— a zatem, że wyrażenie «Bog daj by go Bóg błogosławił» jest straszną Tantologią, odpowiadam, że nie będąc Dorpatczykiem za tamtejszą poezją nie czuję się odpowiedzialnym a pocieszam się myślą, że wiele librettów oper nawet tyle sensu co te wierszyki nie mają, i że śpiewający zwykle co do tekstu nie są bardzo wybrednymi.

Gdyby zaś w piciu piwa kto chciał upatrywać dowód zniemczenia się dorpackich akademików, tego rygorystę upraszam, by pilnie przejrzał fraszki Jana Kochanowskiego, a w nich znajdzie «przepijanie i odpijanie piwem», to zaś powinnoby wszystkie skrupuły jego uspokoić. Lecz młodzież wspomnianego uniwersytetu niezawodnie w patrjotyzmie żadnej innej nie ustępowała pierwszeństwa, a znaną jej piosnka:

Precz, precz smutek wszelki,
Nałóż fajki, staw butelki,
Dobrym wszędzie dobrze będzie,
A złym wiecznie kwas.

Gdy uwielbień godna cnota,
Ktoż poczciwszy nad Czeczota
Więc panowie: jego zdrowie
Wiwat Czeczot Jan!

Pijmy zdrowie Mickiewicza!
On nam błogich chwil użycza,

---

[1]) Tak zwanym od właściciela lokalu, w którym się zbierał.

[2]) Noch einmal getrunken
Den funkeln den Wein
Lebt wohl nun, Ihr Lieben,
Geschieden muss sein.
Lebt wohl nun ihr Berge,
Du vaeterlich Haus,
Es treibt in die Ferne
Mich mächtig hinaus.
hinaus etc.

[3]) Juengling war ich noch an Jahren
Zwei Semester zaehlte ich nur.
Halte gar wenig erfahren
Und vom Geist nicht eine Spuhr! etc.

[4]) Lasset die feurigen Bomben erschallen,
Unser Muller der soll leben
Es lebe das ganze Müllersche Haus,
Und sein Liebchen auch daneben,
Drauf trinkt er sein Glaeschen aus!
Hat's brav gemacht, hat's brav gemacht,
Drum wird er auch nicht ausgelacht.

Nasze troski koi boski
Jego lutni dźwięk [1]).

Lecz przejdźmy teraz do właściwych Niemiec. Jakże wszystko to co się mówi i pisze o narodowych sympatjach i antypatiach jest względnem i zmiennem! La perfide Albion wrzeszczeli Francuzi, un goddame, un boeufsteak, Anglik to urodzony nieprzyjaciel, a z nim zawierali entente cordiale, byli ich towarzyszami broni w Krymie, naśladują ich na turfie, dbają o to by być fashionable, pytając co jest gentlemann like! Ten sam Paryż co Aleksandra II. witał okrzykiem Vive la Pologne, który nas nazywał francuzami północy, wołał la Pologne ne perira pas, dziś do Rossji się umizga, a za nierozsądną zapewne, ale za stuletnią przeszło, wierną i bohaterską naszą przyjaźń odwzajemnia się cyniczną pogardą. Dziś Niemcy srożą się na Moskwę a po Mikołaju I. nosiły żałobę. My sami, nie umiejąc po węgiersku, w słowackim (improwizowanym) języku śpiewaliśmy «Uher, Polak dwa bratanki», im, a nawet Turkom nieśliśmy nasze służby, niepomni, że domagając się sprawiedliwości dla naszej narodowości, nie możemy bratać się z temi co inne narodowości ugniatają, że nam z Kroatami, Serbami i Słowakami trzymać należy, ale nie z ich prześladowcami. Dopiero opodatkowanie nafty i parafiny nam oczy otwiera. Podobne też, lecz większe jeszcze przemiany zaszły w usposobieniu Niemców dla naszego narodu. Paryskie powstanie lipcowe i polskie listopadowe r. r. 1830 zelektryzowały ich i w stan eksaltacyi wprawiły. Saksonia pełną była dla nas sympatji, a Niemcy południowo-zachodnie, w których i instytucje były liberalniejsze, i które większą polityczną dojrzałością się odznaczały, przyjmowały emigracją ku Francji ciągnącą owacyami najżywszego zapału. Tworzyły się komitety podejmujące naszych tułaczy, urządzające dla nich festyny, zaopatrujące w środki do dalszej podróży. Opowiadali mi naoczni świadkowie, jak w Frajburgu rozeszła się wieść, że pewnego dnia hr. Plater ma pocztą przyjechać. Gdy bowiem wszyscy o Emilji Platerownie wiedzieli, a innych polskich nazwisk nauczyć się nie mogli, wygodnie im było w spodziewanym gościu zaspokoić doznawaną potrzebę, by dla Polaków okazać sympatją i gościnność. Przybywa dyliżans, w nim jest obcy jakiś. Chwytają go podnoszą w górę, es lebe Polen, es lebe Graf Plater wołają. On nieumiejący po niemiecku tłómaczy się że nie jest Platerem, lecz nadaremnie. Musiał uledz konieczności, musiał przyjąć zgotowany festyn, spełniać kielichy, dziękując za wnoszone na jego cześć toasty. W jednem Badeńskiem Polakom dawano prawo obywatelstwa. Trentowski był prywatdocentem, Kozłowski bibliotekarzem uniwersyteckim, a jeszcze dwóch innych w kraju osiadło. Chociaż zczasem minął entuzjazm, pozostała szczera, serdeczna życzliwość i trwała, powiedzmy prawdę, póki jej Ludwik Mierosławski w r. 1848 mocno nie podkopał. Ze względu na jego działania w Poznańskiem, Sycylii i Badeńskiem zwano go też potem der Revolutionen-toedter, der Gastrollen-General.

Do tak przyjaźnie więc dla nas uposobionego Frajburgu przybywa na zimowe półrocze 1844/45 dziewięciu Polaków z Prus zachodnich i ja z Krakowa. Oczywiście tworzymy Polonią i raz co tydzień po kolei zbieramy się w mieszkaniu jednego z nas, w letniem półroczu zaś co tydzień schodziliśmy się w jednym z zamiejskich ogrodów. Zawsze któryś wypracował jakąś rozprawkę, po jej przeczytaniu była dyskusya o niej, wreszcie śpiew i zabawa. Staliśmy w najlepszych stosunkach z Helwecyą i prawie wszyscy co tydzień na jej zebrania uczęszczaliśmy. My zaś i Szwajcarzy w znacznej liczbie odwiedzaliśmy niemiecki burszenszaft, do którego nawet kilku z nas przystąpiło. Jak się to czasy zmieniły. Dziś Niemcy chcą nas pożreć, a my oczywiście stronimy od nich, i to tak doskonale, że teraz niejeden swe studja w Niemczech skończywszy nawet się po niemiecku nie nauczy. Wówczas, na tak zwanych oficyalnych zebraniach Burszenszaftu śpiewano pieśni na cześć Polaków, np. ową z jakiejś opery (mnie nieznanej) der alte Feldherr, której bohaterem Kościuszko, a której zwrotką wyrazy:

«hab' ich nichts, hab' ich gar nichts gerettet
«Als die Schwert und mein Alterndes Haupt.

Jeszcze z r. 1830 pozostała popularną pieśń o Czwartakach pod tytułem: Die letzten Zehn des Viertem Regiment, a której początek brzmi:

«In Warschau schwuren auf den Knien.»

Nawet kosmopolityczna pieśń:

«Te souviens — tu disait un capitaine
«Au vétéran qui mendiait pain.»

w polskiem tłomaczeniu zaczynająca się od wyrazów: «czyli pamiętasz mówił rotmistrz do żołnierza» i ta przybierała w niemieckiem brzmieniu polskiego zakroju:

«Denkst Du daran, mein tapferer Lagienka».

Spiewaliśmy ją też jednocześnie po niemiecku i po polsku, podobnież jak i znaną pieśń rybacką z Niemej z Portici:

«Ojczyzna długo gnębiona
«Z żałoby otrząsa skroń.»

Ale nie dość na tem, cały chór z trzech towarzystw złożony śpiewał wesoło:

«Pije Kuba do Jakóba
«Jakób do Michała» [1])

i cieszył się z tego, że nasz język tak łatwym jest do wymawiania. Wkrótce jednak i na tem nie poprzestali, lecz na nutę «Serce nie sługa, nie zna co to pany» której się od nas nauczyli, sami polską pieśń skomponowali. Zestawili bowiem nasze nazwiska w stosowny sposób. Grzmiało też w lokalu:

Amort, Bętkowski,
Majewski, Łyskowski,
Sztok, Mieroszowski,
Wie auch Krolikowski,
Tuchołka, Sumiński, Szukalski, Łyskowski,
Amort Bętkowski, Sztok und Mieroszowski [2]),

(Ciąg dalszy nastąpi).

BOGATY.

(„Les cinquante écus").

Los — uśmiechem mię zaszczyca!..
Stan dziedzica —
Och! zachwyca!..
Boże!.. Jakżem ja bogaty!..
Mogę użyć życia darów,
Mam tysiąc talarów!..
Mam tysiąc talarów
Na kwartał, na kwartał intraty!..

Przyjaciele!.. Mam majątek!..
A więc w kątek
Suchy piątek!..
Jeść chcę, jak arystokraty!..
Precz chudopacholski narów!..
Mam tysiąc talarów!..
Mam tysiąc talarów
Na kwartał, na kwartał intraty!..

Chcę tak żyć jak magnat drugi,
Hej więc sługi,
Kocze, cugi!
Kpię z pieniędzy i ich straty!..

[1]) Gdy na pewną nutę zawsze jest kilka rozmaitych piosnek, śmiesznem istotnie się wydaje łączenie takowych w jedną. Piosenka z r. 1830 powiadająca:

Nie płacz po mnie panno miła,
Dla mnie wieniec lub mogiła,
Nie zasmuci, gdy nie wróci
Ulubieniec twój!
żadnego związku niema z przytoczoną dorpacką.

[1]) Cytowałem zawsze tę pieśń cudzoziemcom, by im dowieść jak miękkim jest nasz język, miększym od włoskiego, w całej zwrotce bowiem ani jedno *r* nie zachodzi, a tylko w wyrazach Jakób i Wiwat są sylaby spółgłoskami się kończące.

[2]) Francuzi powiadają: les beaux esprits se rencontrent, podobna myśl natchnęła ś. p. Wojciechowskiego, gdy znaną niegdyś w Krakowie ułożył pieśń:

O du lieber Wentzel, Mann,
Etgens, Knotz, Steltzel, Hahn i t. d.

Poprobuję życia gwarów!..
Mam tysiąc talarów!.!
Mam tysiąc talarów
Na kwartał, na kwartał intraty!..

Hejże! Kupcy i handlarze!..
Blaskiem rażę!..
A więc każę
Przysłać mi najdroższe graty:
Dom mój zmieniam w pałac czarów!..
Mam tysiąc talarów!..
Mam tysiąc talarów
Na kwartał, na kwartał intraty!..

Zaraz rzucę się w salony:
Cudze żony
Dla mamony
Sypną mi pod nogi kwiaty,
Jako wstęp miłosnych żarów!.
Mam tysiąc talarów!..
Mam tysiąc talarów
Na kwartał, na kwartał intraty!..

Lizko! Proszę cię na bogi —
Strój ubogi
Rzuć pod nogi...
Wdziej najkosztowniejsze szaty,
Więcej pereł, fermoarów!..
Mam tysiąc talarów!..
Mam tysiąc talarów
Na kwartał, na kwartał intraty!..

Gdy się Lizki piękność zatrze,
To w teatrze
Wnet przepatrzę
Pozakulisowe światy:
Złoto zwalczy wszelki narów!..
Mam tysiąc talarów!..
Mam tysiąc talarów
Na kwartał, na kwartał intraty!..

Hej, koledzy i kuzynki!..
Słodkie minki!..
W buzie ślinki!..
Jedzcie, pijcie tu — zakaty!..
Sławcie hojność moich darów!..
Mam tysiąc talarów!..
Mam tysiąc talarów
Na kwartał, na kwartał intraty!..

Precz mi z oczu wino tanie!..
Ty, szampanie,
Na wołanie
Rzuć zamczyste lochów kraty —
Płyń strumieniem do pucharów!..
Mam tysiąc talarów!..
Mam tysiąc talarów
Na kwartał, na kwartał intraty!..

Hejże miasto!.. Rozdziaw gęby!..
Naostrz zęby,
Krzycz po wręby,
Oczy, uszy, szlij na czaty!..
Jak najwięcej sprawiaj gwarów:
Mam tysiąc talarów!..
Mam tysiąc talarów
Na kwartał, na kwartał intraty!..

Sprawiam uczty, szumne bale...
. . . .
Ale... Ale
O tem wcale
Nie myślałem dać notaty,
Że po trzech miesiącach czarów, —
Mam... dziesięć talarów!..
Tak!.. dziesięć talarów
W kieszeni.... a czart wziął intraty!..

Z Berangera, **L. Kozłowski.**

KRONIKA.

Przyszły historyk XIX. w będzie zmuszony poświęcić długi ustęp owacji wyprawionej Ekscellencji Pawłowi. Ekscellencja lubo jest srodze muzykalny, nie lubi śpiewów chóralnych i uważa za stosowne nawet w domu Bożym występować przeciwko nim głośno i energicznie. Jakiem prawem Ekscellencja rządzi się w świątyni Pańskiej, objaśnić nas zapewne nie omieszka konsystorz biskupi i aż do czasu tego wyjaśnienia każdy dobry katolik zdania swego w tej mierze wypowiadać nie może. Młodzież jednak jako jeszcze zbyt żywa i krwista, uznała za stosowne natychmiast objawić Ekscellencji swoje głębokie uznanie, a mając w pamięci niedawną owacją wyprawioną księciu Bismarkowi, uczciła w podobnyż sposób jego kolegę w zawodzie politycznym. W skutek nieporozumienia straż bezpieczeństwa wzięła ten objaw czci za wykroczenie przeciw spokojności organów słuchu Ekscellencji i o mało nie przyszło do zapoznania koncertantów z wewnętrznem urządzeniem pokojów gościnnych c. k. sądu.

Dla zapobieżenia tego rodzaju wypadkom powinni na przyszłość panowie akademicy na 24 godzin przed mającą nastąpić kocią muzyką przesłać na papierze ostemplowanym odpowiednie zawiadomienie do c. k. Dyrekcyi Policyi. Dla wygody pp. akademików ułożyłem koncept takiego podania, gdyż żaden «Sekretarz «odpowiedniego wzoru nie podaje. A więc:

Świetna c. k. Dyrekcyo Policji!

Niżej podpisani porozumiawszy się z JWnym Kuratorem Czytelni akademickiej mają zaszczyt najpokorniej donieść Świetnej Dyrekcyi, iż w dniu jutrzejszym o godz. 10 wieczorem zamierzają uczcić lojalnie nocną serenadą Ekscellencję Pawła Popiela. Zapisanych do udziału jest dotychczas osob 120 — dalsze zapisy przyjmowane nie będą.

Program obchodu:

a) przeciągłe gwizdanie wykonane połączonemi siłami całej orkiestry.

b) chór z opery: «Co kto lubi», wykonany przez całe towarzystwo przy akompanjamencie trzech trąb, dwóch bębnów i czternastu głosów udających piejące koguty.

c) «Poranek», symfonja dyrektora nadwornej orkiestry Katzenmusikera. Część pierwsza: przebudzenie się natury, ryk bydła, Część druga: wycia psie, połączone z rżeniem koni. Część trzecia: kłótnia pasterzy i miauczenie kotów.

d) majufes, słynny chór «Capucinorum» i «A u naszoj popadi» odśpiewane jednocześnie przez towarzystwo.

e) kwartet na basie, trąbie, grzechotce i miednicy.

f) wybijanie szyb przy powtórzeniu pierwszego numeru programu.

Podpisani najpokorniej upraszają Świetną Dyrekcją o najłaskawsze zarządzenie, aby straż bezpieczeństwa utrzymywała na miejscu porządek i usunęła przeszkody mogące wpłynąć ujemnie na wykonanie pojedyńczych nrów programu.

W razie potrzeby aresztowania pewnej liczby koncertantów, obowiązek

dobrowolnego oddania się w ręce funkcyonarjuszy Świetnej Dyrekcji przyjęli koledzy A. B. i C. Liczba ta na żądanie może być zwiększoną.

Mamy zaszczyt pozostać z najgłębszym szacunkiem

pełni uniżenia

X. X. X.

Tak zredagowane zawiadomienie będzie miało jeszcze tę dobrą stronę, że Ekscellencja Popiel uprzedzony na czas przez władzę przygotuje się należycie na mającą nastąpić owacją i przedłuży zwyczajny termin spoczynku, aby błogiego a płodnego dla kraju w rezultaty snu mu nie przerywano.

Od Ekscellencji do Afryki skok nieco ryzykowny, ale trudno mi nie wyrazić radości z tryumfu Rogozińskiego nad Bismarkiem. Jeden to dowód więcej, że tylko nieco dobrej woli, a przepędzim Bismarków hen za morza i góry. Germanizujesz nam pani... o Poznańskie, to my ci za to zanglizujemy góry Kameruńs... Tego ciosu kanclerz się nie spodziewał. Zapłakał serdecznie nad pokrzyżowaniem swych planów, zaklął: donnerwetterrogozińskinochamal i postanowił z naszym afrykaninem wejść w układy. Ma podobno powierzyć mu wielkorządztwo w Poznańskiem i sam przejść na katolicyzm, aby tylko Rogoziński kameruńskie góry odebrał Anglikom. W każdym razie sądzę, że lepiej było ofiarę uczynić Austrji, która prawdopodobnie przyłączyłaby świeży nabytek do Galicji, co by nam dało możność wybierania kilku nowych posłów z Kamerunu, na których między innymi proponowałbym panów Jordana i Sokołowskiego.

To ostatnie nazwisko przenosi mnie z Afryki do Azyi. Z przyjemnością mogę się podzielić z czytelnikami listem naszego znakomitego azjaty. Drukował go wprawdzie «Czas» w Nrze 286, ale tendencyjnie pominął kilka ważnych szczegółów i wyjaśnień. Podziwiać zaiste należy w liście pana Marjana głębokość stylu i dar popularyzowania zdobyczy naukowych. Nic więc nie szkodzi, że list ten w całości powtórzymy. A zatem:

Konia 12 listopada 1884.

«Piszę z głębi Azyi Mniejszej, z miejscowości o której u was ani dudu, jednem słowem piszę do was z Konia, ale nie z tego konia, na którym się jeździ (choć jak się przekonacie i tego używałem) ale z tego konia co się dawniej zwał Iconium. A co? słyszał kto z was o takim koniu?

«Od poniedziałku jesteśmy tutaj, a przed poniedziałkiem byliśmy gdzieindziej. Jesteśmy, to znaczy: ja, Lanckoroński i Malczewski. Właściwie nie tak, bo wczoraj *dogonił* nas (chociażeśmy nie uciekali) dr. Luschan, który jak się domyślacie był pozostał dla *innych* studjów w drodze. Wprawdzie nie piszę jakie to były nasze studja, a jakie inne, ale wy wiecie jak trawa piszczy to się i domyślicie.

«W poniedziałek przyjechaliśmy, we wtorek dogonił nas Luschan, w środę do was piszę, bo jutro jest czwartek. Muszę wam to jaśniej wytłómaczyć. Otóż boję się, aby mój list jadąc wodą nie zatonął, co byłoby z niesłychaną stratą dla was i nauki, a ponieważ w czwartek odchodzi *lądem* poczta do Europy, przeto łatwo wam się dorozumieć dlaczego piszę we środę. Ot co jest.

«26-go Pazdziernika opuściliśmy Adalję i od dwóch tygodni siedzieliśmy prawie ustawicznie na koniach. O skutkach tego dwutygodniowego siedzenia na koniach nie piszę, bo czuły czytelnik sam w swej duszy dośpiewa co się dzieje w okolicach..... mego serca. Inexprimable w kratkę poszły na psy, a te niebieskawozielone ledwie się kupy trzymają. Noce spędzaliśmy w odach, co nie znaczy żebyśmy czytali wiersze, lecz że tutejsze *przytuliska* nazywają się ody. Wyobraźcie mnie sobie w przytulisku! Ja i przytulisko! Krokodyl by zapłakał.....

«W Aglassau, starożytnem Sagulassus blisko Aglassau-dagleu i Isparty (Bauris) puścili nas w trąbę Niemann, Peterson i Hartel. Odetchnąłem, bo te pyszałki wciąż mi imponowali. Jeden z nich sądził, że jestem weterynarzem. Dopiero kiedy mu powiedziałem, że nie jestem byle jakim Sokołowskim, lecz Marjanem (imię moje wypowiedziałem dobitnie), zmiękł odrazu i jak uważałem z pewnym podziwem odtąd na mnie patrzał. Później Lanckorońskiemu, gdy mu mówił o moich trudach na polu archeologji i estetyki, odpowiedział jednym wyrazem: szkoda! Nie wiem jednak kogo szkoda: mnie, czy archeologji?

«W Isparcie bawiliśmy u Jomki Effendi i dobrze nam tam było. Niech jednak imię Jomki nie wprowadza was na drogi mylnych przypuszczeń jakoby to była kobieta. Kto podróżuje dla zdobyczy naukowych, ten o kobietach nie myśli. Od Jomki pojechaliśmy nad brzegi jeziora Eyrdir. W noc księżycową łodzią pływaliśmy po wodach tego jeziora i myśli zwracały się tam do czego serce i *tęskność ciągnie*. Zwracam uwagę waszą na wyrażenie «tęskność ciągnie» — od czasu Krasińskiego nikt się tak nie wyraził. Czuję w sobie cetnary poezji.

«Dalsze naukowe zajęcia moje przedstawiają się jak następuje:

«Z Eyrdir poszliśmy piechotą po ścieżce, słuchaliśmy szumu fal, patrzyliśmy na wzgórza, na niebo jesienne (bo wiosennego tu w listopadzie niema), aż zaszliśmy do oberży, gdzieśmy czekali na pakunki. Jeden z nas siedział, drugi stał, jeden jadł, drugi pił, a komu się ziewać chciało ten poziewał. Malczewski nawet raz kichnął, ale nie głośno. Potem mieliśmy *nocny spokój* (nikt przez sen nie gadał) a po śnie przebudziliśmy się. Ubraliśmy się i pojechaliśmy do Ifletun, gdzie jest małe jeziorko, które starałem się *bliżej zbadać*. Widzicie do czego już doszedłem: badam sobie jeziora, tak jak gdyby nigdy nic. Jak się puszczę to wydam chińską gramatykę i dzieło o nawozach chemicznych, lub trygonometrją.

«Ale wracam do zajęć naukowych. Przy badaniu jeziorka deszcz mnie przemoczył do nitki. Lało się ze mnie jak z rynny. Trzeba się było osuszyć, a więc w Karagutsch zdjąłem z mych kształtów co potrzeba, powiesiłem na stołkach i sznurach. Zapaliwszy ogień na kominku, spożyliśmy dary boże i lulu. W nocy jak zwykle spaliśmy, znów się obudziliśmy i pojechaliśmy do Konia, gdzieśmy stanęli zdrowi, czerstwi i w *dobrych humorach* (widocznie nieco trąbnięci. *Przyp. zecera*).

«Mamy tu cały dom wynajęty za gotówkę, zupełnie świeży, na nasze przybycie dopiero co zbudowany. Każdy z nas ma osobny pokój, w pokoju łóżko, nachtkastel, stół i rozmaite inne sprzęty. Było nam djabelnie zimno, a więc do głowy po rozum: kazaliśmy wstawić piece, a jak się w piecu zapali to grzeje, zupełnie jak u nas w Europie. Kazałem jeszcze pozatykać szpary, żeby nie wiało, a kiedy się schowam pod kołdrę, to tylko monokl na świat Boży wystawiony zdradza moją obecność na świecie.

«W sobotę prawdopodobnie, a może w Niedzielę ruszymy z powrotem w ślad wędrówek św. Pawła Apostoła i jak on uczynimy «cuda wielkie na podporę nauki» i jak on gniewać się będziemy, gdyby nas «za bogi miano» (Skarga t. I. str. 594 wyd. ostatnie). Z Adalji wrócimy przez Rhodos, Ateny, Tryest do Wiednia, z Wiednia przez Oderberg, Krzeszowice i Zabierzów do Kraa kowa.

«To co zdobyłem w tej podróży i czego się *dotknąłem*, zwłaszcza to, czego się dotknąłem, wystarczy na pracę *gabinetową* lat całych. Tak jest! będę pracował w gabinecie nad tem czego się dotknąłem. Cieszę się nadzieją, że wniosę *jakiś nowy żywioł* nieznany dotąd w naszą literaturę, jeźli niebo mi pozwoli. Nad tym jakimś żywiołem myślę i myślę codzień zrana, póki Lanckoroński nie zaprosi mnie na herbatę.

«Niestety, pora już spóźniona, zimno zaczyna dokuczać, musiałem sobie nawet z Malczewskim razem sprawić futerko na drogę z powrotem — a więc kończę opis moich zajmujących przygod i naukowych zajęć».

Tyle jest słów pana Marjana. Rozważajmy je w cichości ducha, oczekując na ukazanie się «Potopu» Sienkiewicza.

O powieści tej różne chodzą pogłoski, oparte przeważnie na samym tytule. Jedni przypisują jej tendencje arystokratyczne ze względu, iż *Poto* jest początkiem nazwiska arystokratycznej rodziny. Inni widzą ultramontanizm w pierwszej sylabie *Po*, a radykalizm w drugiej *top*. Ten radykalizm uzasadniają również czerwone ofisze «Czasu» ogłaszające światu nadejście «Potopu». Są tacy, co wynajdują w tym wyrazie pierwiastek *pot*, mający oznaczać ciężką pracę autora nad tym utworem. Co jednak nie ulega zdaje się wątpliwości, to semicka tendencja powieści, której tytuł można tak dobrze z prawej ku lewej ręce, jak z lewej ku prawej odczytać. Reforma zaciera ręce, iż «Czas» utopi dużo w «potopie», «Czas» buduje arkę do której żadnego liberała nie puści, a «Gazeta Krakowska» po pas już brnie w wodzie i tylko raz na tydzień daje oznaki życia.

K. B.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Złote myśli Juljusza Słowackiego zebrane przez S... (Nakładem autora. W komisie w księgarni Altenberga. Lwów 1884).

Sądząc z tytułu tej świeżo wydanej książki, myśleliśmy, że wydawca zadał sobie nieco pracy i wydobywszy z obszernych dzieł Słowackiego wszystkie piękniejsze myśli podał nam je w pięknem wydaniu.

Rzecz jednak ma się inaczej.

Pod tym szumnym tytułem kryje się egoistyczna myśl samego wydawcy, którego z powodu, że większą połowę książki zapełnił własnymi poglądami, nazwiemy autorem.

Otóż autor p. S... w przedmowie swojej, zarysowanej na 62 stronicach daje nam własny pogląd na kilku genjuszów poetyckich z różnych epok, różnej narodowości, naznaczając im wedle własnego pojęcia, rozmaitej wartości miejsca w panteonie wiedzy i twórczości ludzkiej.

Po poetycznem, śmiesznem nieco preludjum: *jakto autor kona?* — rozpisuje się autor o Goetem i Szyllerze, robiąc pierwszego „niedoskonałym Niemcem-patryotą“, drugiego „niecodziennym idealistą“, wreszcie nazywa Szyllera „wielkim aniołem“, Goetego „wielkim duchem tylko“. Jest jakaś różnica w tem pojęciu ducha a anioła?.. o tem jednak mówi autor bez komentarza.

Niemcy, zdaniem p. S. są wielkimi poetami w książkach, ale nie umieją żyć poetycznie, nawet *estetycznie (!) Estetyka* jest u nich *abstrakcją*“, (co za dziwolążne twierdzenie) — życie — prozaicznością.“ (!).

Estetyka w życiu, jeżeli o to autorowi chodziło, musi być, skoro je prowadzi jednostka wedle zasad moralności; a jeżelibyśmy chcieli prawić o stronach estetycznych życia takiego Szyllera lub Goetego to dość bogata biografia tych poetów dostarczyła by nam ku temu sporo materjału. Autor jednak wiele o tem napisał, a widocznie bardzo mało czytał.

Dalsze twierdzenie autora, jakoby Goete zajęty człowiekiem, stracił z oczu ludzkość i omijał kwestye narodowo-polityczne i *tak* pozbył się patryotyzmu...“ jest najmniej uzasadnione.

Goete był piewcą swego narodu, z powołania więc stróżem jego ideałów, zaś politykiem, jeżeli mniej w dziełach swoich, był nim jako radca stanu, co w ówczesnym ustroju państwa niemieckiego i w pojęciu patryotyzmu narodu, stanowiło niemal pierwszorzędną godność.

O Szyllerze powiada autor, że „ludzkość wykształciła w nim idealizm,“ to już chyba w podobnych razach dzieje się przeciwnie.

Po wypowiedzeniu swoich zapatrywań co do Goetego i Szyllera, prawi autor bardzo wiele o Szekspirze, mianując tego poetę nowoczesnym w Hamlecie! Czuje dalej żal do niego, że dla niektórych stworzonych przezeń postaci „niema nadziei, aby kiedyś ci biedni, słabi, cierpiący, upadli ludzie doszli do lepszych dni, byli silniejsi duchowo i doskonalsi“.

Ta naiwność autora ma w sobie coś miłego, poczciwego, rzekłbym kobiecego. Dla nauki jednak niema z tego żadnej korzyści.

Zestawienie Szekspira z Goetem i Szyllerem, i wynik że: Goete dał nam człowieka-Niemca, Szekspir ludzi ogólno-światowych, Szyller ludzkość w dążeniu za wolnością, wreszcie dorzuconych parę nieszczęśliwych zdań o Byronie, to wszystko składa się na chaos lub w najlepszym razie na zagadkę, do rozwiązania której autor nie podaje klucza.

Następuje część o Słowackim.

Po przeczytaniu takowej, nie widzimy najmniejszego związku z tem wszystkiem, o czem autor tak szeroko przedtem się rozpisał.

Niema tu wykazanego wpływu, jakiby dzieła jednego z omawianych autorów wywierały na twórczość Słowackiego.

Niema wykazanego związku duchowego, jakiby mimowoli zachodził między Słowackim, Goetem, Szyllerem, Szekspirem lub Byronem.

Niema też żadnych przypuszczeń co do wspólnego sposobu pisania, niema zgoła nawet i wzmianki w zarysie o Słowackim, o którymkolwiek z tych tak szeroko omawianych przez autora genjuszów.

Po co więc było to silenie się na przedstawienie rzeczy, która w końcu stała się zupełnie niepotrzebna? Jeżeli była chęć popisania się erudycją, to popis wypadł bardzo nieszczęśliwie.

Część o Słowackim tak skreślona jak ją znajdujemy, wystarczała zupełnie do podania jego złotych myśli; to też ta część jedynie ma wiele niezaprzeczonych zalet.

Autor rzeczywiście zadał sobie pracę, by zbadać charakter wielkiego poety.

W trafnym poglądzie na twórczość Słowackiego i w umiejętnej analizie charakterów poszczególnych postaci, jak: Kordjana, Anhellego, Króla Ducha i innych, dał autor dowód, że zrozumiał ideały poety i że biografja jego zna dokładnie.

Styl lekki, treść zwięzła u dobitna — oto zalety tej części przedmowy (właściwie rozprawki) p. S.

Przechodzimy do najważniejszej części, do *Złotych myśli Juljusza Słowackiego.*

Przedewszystkiem razi nas opieszałość w wyborze myśli. Dzieła Słowackiego zawierają tyle nietylko złotych ale brylantowych myśli, że przy nieco pilniejszem poszukiwaniu zapełniłby można nimi trzy razy tyle kartek ile zawiera omawiana książka i było można śmiało opuścić zdania mniej szczególne a nawet powszednie jak:

„Póki jesteśmy młodzi wszystko jest przed nami.“

„Trzeba wiary!“

„Szczęśliwi ludzie, których anioł dzierży w swojej opiece!“

„Pieśń żyje wieki!“

i bardzo wiele innych t. p.

W końcu powinna być myśl jedna od drugiej odgraniczona pauzą lub gwiazdką, bez tego] ciężko jest zoryjentować się przeciętnemu czytelnikowi, która myśl jest odrębną, zwłaszcza w poezyi.

Właściwiej jeszcze winien był autor-wydawca myśl każdą odgraniczyć podaniem tytułu utworu, z którego zaczerpniętą została.

Jeżeli jednak pominiemy wszystkie usterki powyż wykazane, a oglądniemy się tylko za Słowackim co o nim napisał p. S. i za niektóremi myślami tego poety, to książka ta przedstawi nam się nie bez wartości.

R . . . er.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Z TEATRU.

Mimo telegraficznych zapewnień, iż zarząd sceny krakowskiej złączy się w jedną harmonijną całość z administracyą teatru poznańskiego, mimo doniesień, iż jakiś *Optymista*, wsparłszy p. Łukowicza, zachęca go do skompromitowania raz jeszcze sceny polskiej nad Newą, mimo tych wszystkich radosnych wieści, na których odgłos setki debiutantów raźniej na świat patrzeć zaczęło, okazały się telegramy i artykuły o tych przewrotach kaczkami dziennikarskiemi, pokrytemi wprawdzie puchem prawdopodobieństwa, ale pozbawionemi skrzydeł do lotu. Wszystko pozostało po dawnemu, jedynie teatr lwowski grozi, że z nowym rokiem zwija zbyt kosztowną operę, przeciążającą budżet przedsiębiorstwa. Nie znamy istotnych powodów tej oszczędności, ale jeżeli publiczność lwowska równie chłodno przyjmowała arcydzieła mistrzów muzycznych, jak publiczność nasza koryfeuszów komedyopisarstwa, to nie dziwimy się p. Dobrzańskiemu, że zwija operę, jak trudno dziwić się p. Koźmianowi, że więcej jak trzy razy nie mógł przedstawić *Syna Giboyera.* Dziwnie to wygląda, a raczej smutnie, iż sztuka tak przychylnie przyjmowana nie już we Francyi, ale w sąsiedniej Warszawie, u nas na trzeciem przedstawieniu... wykazała gust publiczności, skierowany ku farsie lub niedzielnej bombie. A przecież Augier w swej komedyi porusza kwestye, które każdego myślącego widza zająć powinny, na strunach serca ludzkiego tak potężne dobywa tony, że trzeba być głuchym lub ślepym, żeby ich nie odczuć i nie zrozumieć. Ten Giboyer, pamflecista, który piórem swem kupczy, jak kto inny wdziękami, ten Giboyer, który mimo swoje wykształcenie jest dziś prostym paszkwilistą, jutro grabarzem w przedsiębiorstwie pogrzebowem, a pojutrze reżyserem teatru, ten człowiek, który sam wstydzi się swego nazwiska i zmienia je, robiąc z niego anagram, w jakimże blasku szlachetnych uczuć staje przed nami ten wódz *Bezczelnych* jako ojciec Giboyera. Trudno chyba o jaskrawsze barwy, jakiemi Augier odmalował swego bohatera w obu częściach swojej politycznej komedyi, podzielonej na dwa odłamy a ściśle złączonej co do treści, jak upadek człowieka z jego podniesieniem się. Sam wiecznie biedny, pracujący jak wyrobnik w warsztatach literackich, zarabiający ledwie na utrzymanie własne i biednego ojca a później na wychowanie dziecka, pod nazwiskiem Guerarda wykształconego, Giboyer „zaparłszy gorycz, którą wciąż pił“ zapomina o sobie i jedynem jego marzeniem jest szczęście syna, któremu nie daje nazwiska, jak nie podpisuje go na swej książce, nie chcąc obojgu szkodzić na opinii. Plany polityczne barona d'Auberive skłaniają tego magnata do wyszukania Giboyera i powołania go nietylko do kierownictwa pisma, broniącego interesów partyi arystokratycznej, ale i do pisania mów dla manekinów stronnictwa zachowawczego, recytujących kupione przemówienia. Takim manekinem partyi, reprezentowanej na scenie przez p. Auberive i panią Pfeffers jest bogaty

parweniusz p. Marechal (Guerard jest u niego sekretarzem), który przez całe życie nie wiedział czy jest arystokratą, czy też demokratą i który o prawdzie swych przekonań mógłby wątpić tak dobrze, jak i o wierności swej pierwszej żony, gdyby mu p. Auberive obu kwestyj w korzystnem nie przedstawiał świetle, a co leżało w jego osobistym interesie. Giboyer mowę napisał i niewątpliwie p. Marechal by ją w izbie był powiedział, na pamięć się nauczywszy, gdyby nie strzała Amora, która przeszywszy serce córki Marechala, (tej z pierwszej jego żony) i młodego Guerarda, kazała baronowej Pfeffers, dymplomacie w spódnicy, równie dbałemu o swoje jak i partyi interesa rozkochać w sobie młodego p. d'Outreville, proponowanego przez p. Auberive na męża dla Fernandy (tej, z pierwszej żony córki Marechala), pozbawić pannę konkurenta a ojca przemówienia w sejmie i tym sposobem oboje na siebie i partyą oburzyć. Pan Guerard, skompromitowany publicznie przez panią Marechal, „platonicznie“ w nim zakochaną pryncypałową, podżegany przez ojca swego, który nareszcie do ojcowstwa się przyznał, pisze dla p. Marechal mowę, zbijającą wszystkie zarzuty przeciwników i zacny ten automat wypowiada ją w izbie, przerabiając się w ciągu dnia na gorącego liberała. Stronnictwo zachowawcze ponosi w izbie klęskę, wynagradza to sobie jednak po za murami parlamentu; p. Pfeffers zaślubia złowionego w miłosne sidła młodego d'Outreville, p. d'Auberive, nie mogąc dać Fernandzie męża po swojej myśli, obiecuje wnukom wypłacić się z obowiązku dziadka a p. Marechal mimo gniewów i dąsów zezwala na małżeństwo Fernandy z Guerardem, rozbrojony miłością córki dla dzielnego młodzieńca, w ostatniej chwili nie wahającego się opuścić ukochaną, gdyby ta nie zechciała w Giboyerze uznać teścia. Ale Fernandą rozum z sercem kierują w parze, Guerarda przyjmuje i Giboyer na starość ma tę pociechę, iż widzi szczęście własnego syna, na które pracował przez życie jego, na którego wychowanie łożył z kasy sumienia, sprzedając pióro swe i talent więcej dającemu.

Giboyer, jako typ ojca, poświęcającego się dla dziecka pozostanie wiecznie świeżym dla widza, odczuwającego ogrom uczuć ojcowskich, ale jako typ dziennikarza sprzedajnego stał się nader pospolitym, wprawdzie nie u nas ale w swej ojczyźnie.

Gdybyż wszyscy Giboyerowie w tak szlachetnych celach zaprzedawali swą zdolność, ale dziś handel piórem w krajach, gdzie rozwój dziennikarstwa do *maximum* dochodzi wyklucza szlachetne pobudki,—piszą by schlebiać stronnictwu, lub jednostkom, a naiwnym byłby ten, ktoby wierzył w szczerość pustych frazesów. Za granicą wpływy te mają szersze koła działań, w naszych warunkach, z konieczności ograniczyć się muszą do szczupłych ram przewodnictwa opinij. Ilu Giboyerów mieści się w takich szeregach, monopolizując w swych rękach ster tych opinij, wiedzą najlepiej ci, których to upadające dziś możnowładztwo jednej partyi nauczyło nią pogardzać i walczyć na każdem polu.

Szkoda, że nasza publiczność tak oziębłe zachowała się wobec przedstawienia *„Bezczelnych“* i *„Syna Giboyera“*. Miałaby sposób widzenia na scenie ludzi, z którymi w życiu dość często się spotyka, a także podziwienia starannej gry aktorów. Przyznać trzeba naszej scenie, iż nie żałowała trudów, starania, pracy i talentu, aby arcydziełu Augiera zapewnić powodzenie. Rola tytułowa, choć właściwiej była wyglądała w interpretacyi p. Sobiesława, nie straciła na starannem opracowaniu w rękach p. Zapałowicza. Pan Rygier miał bardzo trudne zadanie do zwalczenia, musiał pracować za siebie i p. Arwina, który grając Giboyera w *Bezczelnych* postaci tej ujął wiele dramatycznego żywiołu, zastępując go komicznym, co nie jest bynajmniej jego osobistą, lecz jego talentu winą. P. Rygier zrozumiał postać poczciwego w gruncie Giboyera dobrze, a wykonaniem wprost powiedzieć można zadziwiał nas i ucieszył. Młody artysta znaczne poczynił postępy, korzystnie się ujawniające w poprawnej dykcyi i ruchach twarzy; p. Frenkiel w akcie ostatnim stworzył istną mozajkę uczuć i wrażeń, jakie przechodzi p. Marechal, tryumfujący z powodzenia oratorskiego i zasmucony kłopotami rodzinnemi. W bogatym repertuarze, p. F. wyróżni się rola Marechala; szkoda, że nie możemy tego samego powiedzieć o p. Solskim, który nie wydobył wszystkich odcieni z roli młodego d'Outreville'a, czyniąc tę komiczną nieco postać nadto sztywną. Niewdzięczne są role w rodzaju p. Auberive, — trzeba do nich sumiennych artystów, którzyby zgodzili się na dobrowolne zsunięcie się na drugi plan, uczynił to p. Szymański, a że zachował wszystkie cechy dystynkcyi i godności gorąca należy mu się pochwała. Należy się ona i trzem paniom grającym w sztuce. Panna Wojnowska przyzwyczaiła nas już do podobnie skończonych kreacyj, jej p. Marechal, „tocząca sama z sobą walkę“ miała wiele naturalności a lekki komizm, jakim całość była owianą dobre robił wrażenie. Dla pn. Ruszkowskiej rola baronowej Pfeffers była i próbą zwycięztwem. Wiele salonowej kokieteryi, dużo sprytu i niemało wdzięku złożyły się na bardzo korzystną całość, chlubnie świadczącą o ciągłej pracy młodej artystki. Z rolą Fernandy miała pn. Kałużyńska wiele pracy, grywając bowiem ustawicznie heroiny musiała zmienić skalę i głosu i ruchów dla wcielenia się w postać pełnej subtelnych uczuć dziewczyny; p. K. powiodło się to przejście z dramatu do salonowej komedyi.

A komedya ta tak się rozwielmożniła u nas, że rzadko się zdarza wipzieć na scenie naszej sztukę o prawdziwie poważnym nastroju. Komedye repertuaru francuzkiego, treści nieco poważniejszej, wypełniają tę lukę, odzwyczajając publiczność od słuchania tragedyi, aktorów od chodzenia w kostiumie i deklamowania natchnionych strof Szyllera lub Szekspira; ztąd to przeciętny widz idzie z obawą, widząc na afiszu„ Śmierć Wallensteina“ i to z obawą podwójną, by siebie nie nadto poważnie nastroić i niebyć świadkiem morderstwa dokonanego na Szyllerze. Z przedstawienia tragedyi Szyllera na naszej scenie, w obec odwyknięcia publiczności i artystów od dramatu, obawa ta nie była płonną. Trzy przedstawienia dość szczelnie zapełniające teatr, nie wypełniły go jednak „po wręby“ a aktorzy zdradzali często przyzwyczajenia „salonowe“.

Z trylogii Schillerowskiej, za przedmiot mającej losy krwawego bohatera, trzecia, „Śmiercią“ zatytułowana, najwięcej mieszcząc w sobie pierwiastku dramatycznego, najwięcej ma interesu dla widza. gdy dwie poprzednie, będąc niejako przygotowawczemi, każą zię czegoś spodziewać w losie wodza z pod Lützen i w istocie to uzupełnienie w końcu trylogii jest, tkwi w „winie tragicznej“, ciężącej na Wallensteinie, która zadosyćuczynienie znajduje w jego śmierci. Sztuka to znana publiczności krakowskiej z przed laty dwunastu, pokrótce więc tylko przypomnieć można, iż za treść jej służy nieudany zamiar Wallensteina, oderwania się od cesarza i owładnięcia z pomocą Szwedów korony czeskiej. Szczęście jednak opuszcza swego faworyta, a mściwi przyjaciele korzystają ze sposobności, aby po trupie upadającego księcia dojść do znaczenia i sławy. Piccolomini i Butler, zazdrosny i obrażony przyjaciele są niejako przeciw działaczami Wallensteina w wojnie z cesarzem, a właściwie są oni tylko uosobieniem siły, w którą toczy walkę dumny książę, z której wychodzi pobitym. Tragiczna śmierć Wallensteina w Eger jest epilogiem trylogii a prologiem do dalszej karyery jego wroga Piccolominiego. Wpleciony w akcyą romans córki Wallensteina z młodym Piccolominim kończy się niepomyślnie dla zakochanych, których miłość poczęta w chwili zgody ojców, rozwiązuje się przez śmierć obojga.

Każda z postaci tragedyi wymagała aktora z talentem i rutynowanego. W komedyi ten i ów zręcznym ruchem lub szczęśliwie pomyślanym gestem zaciera niejeden błąd; tragedya jest tą wodą, na której powierzchni oliwa się pokaże, a woda..... niknie. Nie małą też rolę odgrywa wystawa zewnętrzna sztuki — tę miała tragedya Szyllera wedle środków, jakie scena posiada, staranno się jak można było, a to i owo wybaczyć trzeba, wiedząc, że inaczej nie można.

Aktorzy informowani przez reżyseryą a nawet, jak głoszą dzienniki, przez profesora Uniwers. złożyli dowody niezaprzeczonych dobrych chęci, a że nie wszyscy stanęli na wysokości wymaganej to trudno, nie ich wina. Niepodobna, dla szczupłości miejsca, w szczegółową wchodzić ocenę i biadać na tem, że p. Arwin zastępczo grał rolę Piccolominiego, że p. Stępowski nie zadowolnił pojęciem roli Wrangla, a pp. Werner i Zapałowicz ustawicznie przypominali nam swoje kreacye tużurkowe; podnieść za to wypada i trzeba, że p. Rygier drugą z rzędu rolą miłą robi niespodziankę i to rolą niepomiernie trudną; prawda, że jego silny głos wielce mu dopomaga do przełamania trudności technicznych kreacyi, ale godzi się podnieść w artyście tę sumienność w szczegółowem opracowaniu roli i konsekwentnem przeprowadzeniu charakteru; również gorące uznanie należy się p. Podwyszyńskiemu za rolę Butlera i p. Sobiesławowi za rolę Maksa. Obaj wcieliwszy się w przedstawiane postacie wydobyli z nich pożądane effekty. Z kobiet pierwsze miejsce należy się p. Hoffmanowej. Jej Tercka z dumą rodową i ambicyą, mimo zsunięcia przez poetę na drugi plan ustawicznie przodowała na scenie. P. Wolska była sumienną żoną swego bohaterskiego małżonka. P. Kałużyńka grała Teklę. Całość. z małemi wyjątkami, przynosi scenie naszej chlubę.

Jeżeliby kto z przyzwyczajenia zrzędzący na teatr chciał narzekać, że jedną tylko oryginalną widział sztukę, to powinien wnet się pocieszyć, że powodzenie komedyi p. J. A. Święcickiego *„O własnej sile“* zastąpiło kilka innych tryumfów, jakie spotyka rodzimy repertuar. I słusznie. Jeżeli zgodzimy się, jak wielkie znaczenie i wpływy wywiera scena na widzów, to zgodzić się musimy, że szczepienie zdrowych zasad z tej sceny w serca i umysły widzów należy do obowiązków autora. P. Święcicki godnie zadaniu temu odpowiedział, *tendencya* jego sztuki zasługuje na te oklaski, jakiemi po pierwszem przedstawieniu darzono autora i aktorów. Samodzielna praca kobiet, dopomagających rodzinie w chwili ich bankructwa pieniężnego i niedołęztwa do pracy, oto główne tło trzyaktowej komedji, napisanej bardzo potoczystym i gładkim wierszem. Wprawdzie dziś już kwestyą dopuszczenia kobiet do pracy w równej mierze z męzką połową rodu ludzkiego, uważać można za przebrzmiałą, bo nasze panie od dratwy do skalpelu wszelkiego używają narzędzia do zapracowania na chleb powszedni, ale to nie wyklucza ustawicznego nawoływania do tej pracy i do przedstawienia w malowniczych obrazach błogosławionych skutków tej pracy „o własnej sile.“ P. Święcicki rozsnuwa przed naszemi oczyma podobny obraz. Rodzina Drzymskich wskutek nie-

zaradności własnej i marnotrawstwa starszego syna, znajduje się w przykrem położeniu materjalnem. Jeden tylko pozostaje środek od wyrwania ich ze szponów nędzy: wydanie córki, Wandy, za bogatego starca, hrabiego. Wanda odrzuca te hańbiące propozycye sprzedaży i postanawia „o własnej sile“ dorobić się kawałka chleba. Szlachetnej dziewczynie dopomaga w tem przedsięwzięciu jej kuzynka, Marylka, której majątek rodzinny jest w procesie z niejakim p. Pasternackim. Dziewczęta wspólnemi siłami zakładają warsztaty: szewski i introligatorski, szczęście sprzyja dobremu projektowi i dzielne pracowniczki spotyka nagroda: Wanda wychodzi za Henryka, swego mistrza, który ją do pracy zawsze nakłaniał, Marylka wygrywa proces i z rodzicami osiada na wsi, gdzie wśród ludzi zamierza szerzyć oświatę i zamiłowanie do rzemiosł.

Treść sama wskazuje, że autorowi nie tyle zależało na sceniczności swojej komedyi, ile na tendencyi, zkąd to niewątpliwie pochodzi, że w sztuce p. Ś. są pewne usterki, jak niekonsekwencye drobne i nieproporcyonalność w układzie scenaryusza. Są to jednak małe wady, dla widza zajętego treścią niewidoczne. Z tego co się powiedziało wypływa i to, że komedya p. Ś. będąc raczej *Obrazem* niż komedyą, pozbawioną jest ruchliwej akcyi, a tem samem redukuje działalność aktorów do deklamacyjnych popisów. Nasi artyści w tym duchu sztukę pojęli. P. Kałużyńska z zapałem wygłaszała szlachetne zasady Wandy, w czem jej dzielnie sekundowała pn. W. Barszczewska, korzystnie prezentując swoje deklamatorskie zdolności. Nie pozostali i inni wykonawcy w tyle. P. Rygier z ogniem i siłą w głosie, p. Podwyszyński ze spokojem i godnością grali swe role. p. Sobiesław był pełnym lekkości i werwy hulaką. Pp. Frenkiel i Solski, miarkowaniem szarży, jaka się z winy autora wkradła do postaci Pasternackich, wiele przyczynili się do powodzenia całości.

Nakoniec wypadałoby wspomnieć jeszcze słówko o komedyi p. Rosena, z niemieckiego przetłumaczonej, że jednak jest to ramota, nie warta streszczenia, przeto ograniczamy się na przesłaniu współubolewania artystom za grę w podobnej lichocie i dyrekcyi, iż z nie małym pewnie smutkiem przyjęła objaw gustu publiczności, unikającej przestawień komedyi Augiera, a bawiącej się na „sztuce“ p. Rosena. Oj, ta publiczność! Tłumacz powinien nam być wdzięcznym, iż nie wymieniamy jego nazwiska.

W chwili oddania numeru tego na prasę, Modrzejewska rozpoczęła już swe występy na scenie krak. Że jednak w repertuarze znakomitej artystki są sztuki potrzebujące dłuższej wzmianki, jak również i gra p. M. szerszych uwag, przeto odkładamy je do następnej kroniki, konstatując fakt, iż publiczność tłumnie się zbiera dla podziwiania artystki.

Nemo.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Literackie i naukowe.

— W tych dniach opuściła prassę w eleganckiem wydaniu znakomita komedja *Kazimierza Zalewskiego*: „Górą nasi“. Nakład K. Bartoszewicza. Cena 1 złr. 60 ct.

— „Slovansky Sbornik“, artykuły z dziedziny etnografii, historyi, kultury, dziejów, życia literackiego oraz towarzyskiego. Rocznik II. Redaktor *Edw. Jelinek*. Praga, nakładem J. Otty, 1883 r.

Na sympatyczne to pismo składają się artykuły pióra słowiańskich pisarzy, między którymi i Polacy się znajdują. Wielka liczba artykułów odnosi się do naszych dziejów, co z przyjemnością zaznaczyć trzeba. Znany nasz archeolog J. Łepkowski napisał artykuł p. t. „Ubjory w Polsce“, Czesław Koryciński artykuł p. t. „Stosunki Czech z Polską i znaczenie szlachty polskiej w XV. wieku, Kolda Malinsky: „Księżniczki polskie na tronie czeskim,“ Edw. Jelinek: „Czartoryscy w Puławach“. Pomiędzy powyżej wymienione artykuły wplecione są gdzieniegdzie szkice z podróży po Słowiańszczyźnie, okrom jednego, wszystko pióra samego redaktora. Rodzaj felietonu stanowią: „Rozdziały słowiańskie (Slovanské Kapitoly)“, które pisze sam redaktor, ukryty pod pseudonymem E. I. Pravda. Trzecia kapitola „My u nich, a oni u nas“, jako nas obchodząca, na szczególną zasługuje uwagę. Przy końcu tejże rzucił Jelinek projekt wydania jednodniówki czesko-polskiej, w rodzaju „Ziarna“, „Na pomoc“ itp. z przeznaczeniem dochodu z tego wydawnictwa na pomoc dla Serbów Łużyckich. „Projekt to—piszą Kłosy—ze wszechmiar godny poparcia, tem bardziej, iż w obec Serbów Łużyckich wyręczają nas inne nieprzyjazne dłonie, dając Judaszowe srebrniki dla zatracenia słowiańskiej cechy tego kącika otoczonego ze wszystkich stron germanizacyjną presyą“.“

— W ostatnich zeszytach czasopisma Akademji południowo-słowiańskiej w Zagrzebiu (Rad jugoslavenske akademije znanosti i umjetnosti) znajdujemy nekrolog *Wacława Aleksandra Maciejowskiego*, pióra prezesa Akademii, kanonika Raczkiego.

— Prof. Dr. *Ewarnicki* miał na niedawnym zjeździe archeologów w Odessie ciekawy odczyt: „O topografii Siczy zaporoskiej.“

— *Fr. Vymazal*, autor Antologii słowiańskiej w przekładach czeskich wydał w Bernie merawskim „Początki języków słowiańskich (9 języków piśmiennych, oraz języka litewskiego)“.

— Tamże wyszła gramatyka języka starobulgarskiego (starosłowiańskiego) przez *B. Popelkę*.

— Komedja *Bałuckiego* „Po śmierci cioci“ przetłomaczył na język czeski Ar. Schvab-Polabsky p. t. „Po smrti tetine“ (Divadlo ochotnické), Praha 1884.

— *K. Bartoszewicz*. Ogniem i mieczem, powieść z ostatnich dni czerwca, 3cie wydanie. Kraków 1884. 15 ct.

— Dr. *Henryk Biegeleisen*. Pan Tadeusz Mickiewicza, studyum estetyczno-literackie. Warszawa 1884. Cena 3 złr. 25 ct.

— *Bobrzyński Michał*. Jan Ostroróg, studjum z literatury politycznej XVgo wieku (Odbitka z tomu IV Pamiętnika wydziałów historycznego i filologicznego Akademji Umiej). Kraków 1884.

— *German Ludomił*. Niedola Nibelungów, przekładał..... Warszawa 1884 (1885), str. 442.

— *Grajnert Józef*. Antek Socha, młody wojak, powiastka historyczna z czasów Jana Kazimierza (wydawnictwo Macierzy Polskiej, książeczka 19).

— *Hoppe Michaël* (Polak). Ein Beitrag zur Castration der Frauen bei Unterusfibroiden. Inauguraldissertation. Greifswald, 1884.

— *Jabłoński Adolf*. Kopalnictwo nafty. Kraków 1885.

— *Kałytowskij Om.* dr. Materyały do ruskoj łyteratury apokryfycznoj. Lwów, 1884.

— *Kolberg Oskar*. Mazowsze, obraz etnograficzny, tom I. Mazowsze polne, część I. Kraków, 1885.

— *Kościałkowska Wila Zydram*. W półcieniu, opowiadania i obrazki. Warszawa, 1885. Cena 2 złr.

— *Kraszewski J, I.* Ktoś, powieść współczesna, tom I. i II. Warszawa, 1884.

— *Lewicki Anatol* dr. Zarys historyi Polski i krajów ruskich z nią połączonych. Kraków, 1884. Cena 1 złr. 50 ct.

— *Orzeszkowa E.* Meier Ezofowicz, Erzählung aus dem Leben der Juden, einzig autorisirte Uebersetzung aus dem Polnischen von Leonhard Brixen. Dresden, Minden 1885.

— *Paucker Heinr. von.* Das Lied von der Heerfahrt Igor's, Fürsten von Sieversk, aus dem Altrussischen übersetzt, und mit einer literarhistorischen Einleitung und Anmerkungen versehen. Berlin 1884.

— *Pawiński Adolf*. O pojednaniu w zabójstwie według dawnego prawa polskiego. (Biblioteka umiejętności prawnych). Warszawa, 1884.

— *Reisen St. von Rogoziński* in Kamerun-Gebiete. Petermanns Mittheilungen wydawane w Gocie, zeszyt IV. z r. 1884.

— *Rossowski St.* Spuścizna, wiersz napisany ku uczczeniu 29 rocznicy śmierci Adama Mickiewicza. Kraków, 1884.

— *Spasowicz W.* Dzieje literatury polskiej, przełożone z rosyjskiego, wydanie II, przejrzał i poprawił A. G. Bem. Warszawa, 1884. Cena 3 złr. 20 centów.

— *Vrchlicky Jarosław*. Duch i świat, poezye, przełożył z czeskiego Miriam. Warszawa, 1884.

— *Wojciechowski Tadeusz* dr. Podział i zakres dziejów polskich, odczyt w sali inauguracyjnej lwowskiej przy otwarciu roku szkolnego 1884/5. (Odbitka z Przewodnika nauk. i liter.). Lwów, 1884.

— *Zdulski M.* Lud i targ, niektóre uwagi o zamierzonych reformach w stosunkach ludowych. Rzeszów, 1884.

— W nrze 1014 warszawskich „Kłosów“ znajdujemy artykuł poświęcony *Leonardowi Sowińskiemu* i jego utworom, na ostatniej stronie odbicie jego portretu.

— W listopadowym zeszycie Przewodnika nauk. i liter. jest dokończenie rozprawki *Józefa Tretiaka* p. t. „Zygmunt Krasiński w I. dobie młodości“ (Charakterystyka).

— „Ateneum z listopada b. r. zawiera obok innych artykułów ciekawe „Pamiętniki ks. Metternicha“ przez *Kazim. Jarochowskiego* i „Debiuty powieściopisarskie“ przez *Piotra Chmielowskiego*“ (II). W tym ostatnim artykule znajdujemy ocenę następujących nowel i powieści:

Adolf Dygasiński: Nowelle, Warsz. 1884. — A. Sygietyński, Na skałach Calvados. — Syn przemytnika, powieść oryg. przez Jerzego Myriela, 2 tomy. — Syn księżniczki, pow. obyczajowa przez Anietę Tripplinównę. — K. Czeremosz: W przededniu. — Z czarnej godziny, powieść z niedawnej przeszłości przez Fel. Srzeniawitę.

Z dziedziny malarstwa, muzyki, rzeźby, teatru i architektury.

— W konkursie ogłoszonym na pomnik dla *Sarbiewskiego*, nagrodę przyznano rzeźbiarzowi warszaw. p. *Kryńskiemu*. Projekt p. Kryńskiego składa się z tablicy marmurowej ciemnej, ozdobionej renesansowo, a środek jej zajmuje półkolista nisza, mieszcząca biust Sarbiewskiego naturalnej wielkości.

— *P. Wł. Motty* wezwany podobno został wraz z najznakomitszymi illustratorami francuskimi do zillustrowania powieści Malota „Les victimes d'amours“.

Do tego Nru dołącza się dokończenie „Polskich pań i dziewic.“

Rok 3. Kraków, dnia 5 i 20 Grudnia 1884 r. Nr. 23 i 24

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY
pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

Księgarnia K. Bartoszewicza w Krakowie

wydała oraz otrzymała na skład główny następujące dzieła:

Anczyc Wł. Dzieje narodu węgierskiego popularnie opisane z rycin. —·40

Asnyk. (E-ly) Cola Rienzi; dramat historyczny z XIV. wieku w 5-ciu aktach oryginalnie napisany cena 2 złr. zniżona 1·—

— Trubadurowie. Kraków 1872. —·20

Bajron. Don-Żuan w haremie, tłum. Edward Porębowicz. Kraków 1882 —·30

Bartoszewicz Juljan. Historya literatury polskiéj, wydanie 2 pomnożone i tańsze. — Kraków 1878. 2 tomy 5·—

— Historya pierwotna Polski, pierwsze wydanie z rękopisu 4-ty. Kraków 1879. 14·—

— Szkice z czasów saskich. Wydanie 1. Kraków 1880. Treść:

Kropińscy, obrazek sejmikowego życia. Grandmuszkieterowie Augusta II. Kampement w Warszawie. 1732. Sprawa Karwickiego. Pan Bystry. Dzieje niewiasty polskiej. Koronacje obrazów świętych. Ignacy Bohusz, późn. sekretarz konfed. Barskiej. Karol XII. w Warszawie w roku 1702. Warszawa w r. 1705. Ks. Wincenty Santini, nuncyusz w Polsce. 1721—1728. Systemat Karwickiego reformy Rzeczypospolitej w roku 1706. 3·50

— Studja historyczne i literackie. Wydanie 1-sze. Kraków 1881.

Treść tomu I-go: Helena Iwanówna, żona Aleksandra Jagielończyka. Stary poemat o Gdańsku. Krystyna Poniatowska (przyczynek do dziejów braci Czeskich w Polsce). O nuncjuszach w Polsce. O dochodach króla Stanisława Augusta. O przedrukowaniu Voluminów Legum 1732 r. O nowem wydaniu sag skandynawskich. Kniaź Kurbski na Wołyniu. Summy neapolitańskie. Kronika pałacu Krasińskich. Podróż Regnarda po Polsce. O bibliji reimskiej. Mikołaj Jemiołowski jako historyk. 3·50

Treść tomu IIgo: Elekcja Michała Korybuta. Księga kapturów rzeczyckich. O kasztelanie brzeskim Matuszewiczu jako poecie. Chazarowie i Połowcy. Ks. Wojciech z Konojad Dembołęcki. Starania domu Rakuskiego w XVI. wieku dla pozyskania korony polskiej. Kasztelanja Połaniecka Kochanowskiego. Poselstwo księdza Jędrzeja Załuskiego do Portugalji 1674 — 1676. Podróż bezimiennego księdza francuzkiego do Polski za Jana Sobieskiego. Konstanty Swidziński i jego wieczysta fundacja. Hetmaństwo. Teatyni w Warszawie. 3.50

Treść tomu III-go: Warszawa i Kraków, jako stolice. Jan S. Jabłonowski i jego dzieło: Skrupuł bez skrupułu. Prawo o elekcji. Bitwa pod Beresteczkiem. Księga protokółów franciszkańskich prowincji ruskiej. Mazowsze-Mazury. Wawrzyniec Słupski Bandura, kandydat do korony polskiej. Co znaczyła i gdzie była Ukraina? Anna z Sapiehów Jabłonowska. Czy Przecław Lanckoroński był hetmanem Kozaczyzny. Kniaziowie i Książęta w Polsce. 3·50

Cena 3-ch tomów razem 10.50

Bartoszewicz Juljan. Anna Jagiellonka, 2 tomy razem Kraków 1882. 3.50

— Szkic dziejów kościoła ruskiego w Polsce, wydanie 1-e Kraków 1880. 4·—

— Pamiętniki Krzysztofa Zawiszy, Wojewody Mińskiego. Warszawa 1862. 2·50

— Kniaź i Książę. Kraków 1876. —·60

— Zamek Bialski, historya miasteczka, obrazy z życia magnatów. 1881. Lwów 2·25

Bartoszewicz K. Małpa - człowiek, nieznana satyra z XVIII. w. (odbitka z Ateneum) —·50

— Życie Jana Kochanowskiego, treściwie zebrane Kraków 1883. —·20

— Dwadzieścia kronik Przeglądu literackiego i artystycznego. Kraków 1883. —·80

Bełcikowski. Wieczór w Czarnolesiu, scena liryczna Kraków 1882. —·20

Beranger. Piosnki w tłumaczeniu L. Kozłowskiego (w druku).

Bodzantowicz. Rodzina konfederatów. Puławscy. Lwów. 1869, cena 3 złr. zniż. na 1·50

Buliński. Historya kościoła polskiego 3 tomy. Kraków 1873. cena 12 złr. zniż. na 6·—

Buszczyński. Ameryka i Europa, studium historyczne i finansowe z krytycznym na sprawy społeczne poglądem. Kraków 1876. cena 5 złr. zniż. na 2·50

— Sądy cudzoziemców o Polsce i jej walkach z zaborcami. Kraków 1883. —·50

Chołoniewski ks. Pisma pośmiertne 2 tomy. Lipsk 1854 cena 5 złr. 40 ct. zniż. na 1·20

Dzieduszycka Anastazja. Listy nauczycielki. Kraków 1883. 1·—

Dzieduszycki Izydor Dr. Patrjotyzm w Polsce. Kraków 1882 i 1883, 2 części 1·—

Dzieduszycki hr. Maurycy. Żywot Wacława Hieronima Sierakowskiego arcybisk. lwowskiego. Kraków. 1868 cena 2 złr. 40 ct. zniż. na—·80

Flaubert Gustaw. Córa Hamilkara (Salambo). Kraków 1867 (na wyczerpaniu) cena 2 złr. 50 ct. zniż na 1·—

Grudziński St. Idealista, poemat fantastyczny. Kraków 1871 cena 60 ct. zniż. na—·20

Heisig. Przewodnik do rysunku cyrklowego i linijnego, jako wstępna nauka do geometryi wykreślnej, rysunków architektonicznych i t. d. Kraków 1875 cena 2 złr. 40 ct. zniż. na 1·20

Hoflmann A. W. Wstęp do nowoczesnej chemii, przetłómaczył z 5 wydania niemieckiego L. Masłowski. Kraków 1875 cena zł. 3.50 ct. zniżona na 1·50

Dr. Jordan. Nauka położnictwa dla użytku położnych 2 tomy. Kraków 1879 (na wyczerpaniu) 4·—

Kasprzycki. Geografia początkowa cena 75 ct. zniż. na—·30

Kraszewski - więzień i Niemcy Kraków 1883 —·30

Kochanowski Jan. Pieśni i treny. Kraków 1883 —·50

— Fenomena, Muza, Satyr, Monomachja. Kraków 1883 —·40

— Odprawa posłów greckich, Szachy, Dziewosłąb, Zuzanna, Broda, Marszalek, Zgoda, Epitalamium, Proporzec, Wtargnieniedo Moskwy, Pamiątka. Kraków 1883 —·50

— Fraszki. Kraków 1883 —·40

— Fragmenta, Wzór pań mężnych, Wróżki, O Czechu i Lechu, Wykład cnoty, O pijaństwie, Apoftegmata. Kraków 1883 —·30

— Psałterz Dawidów. Kraków 1883 —·80

— Rymy łacińskie w tłomaczeniu Brodzińskiego i Syrokomli. Kraków 1883 —·80

— Dzieła. Wydanie kompletne w 4-ch tomach, zawierające wszystkie pisma polskie Kochanowskiego, oraz dzieła łacińskie w tłomaczeniu Syrokomli i Brodzińskiego. Wydanie uznane za najlepsze ze wszystkich dotychczasowych, z dodaniem życiorysu, facsimile i portretu poety podług pomnika w Zwoleniu. Kraków 1882 3·20

— toż samo w oprawie w płótno ang. 4·80

Koziebrodzki. Klaudja, dramat. Kraków 1871 —·40

Krasicki Ignacy. Bajki i przypowieści. Kraków 1883 —.20

— Satyry. Kraków 1883 —·30
— Wiersze różne i wiersze z prozą. Kraków 1883 —·40
— Listy. Kraków 1883 —·10
— Myszeis. Kraków 1883 —·20
— Monachomachja i Antimonachomachja. Kraków 1882 —·20
— Wojna Chocimska. Kraków 1883 —·20
— Pieśni Ossyana. Kraków 1883 —·30
— Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego Kraków 1883 —·50
— Historja. Kraków 1883 —·50
— Pan Podstoli. Kraków 1883. 1·—
— Komedje. Kraków 1883. 1·—
— Dzieła w 5 tomach z portretem. Kraków 1883. 4·—
— tož samo w oprawie 6·—

Kraszewski J. I. Tomko Prawdzic, wierutna bajka. Lwów 1866. cena 50 ct. zniż. na—·25

Lipiński Tymoteusz. Pamiętniki z lat 1825 — 1831, Kraków 1883. 2—

Łoziński Wł. Galiciana. Lwów 1872 cena 1 zł. 50 ct. zniżona na—·80

Mill John Stuart. O rządzie reprezentacyjnym, przełożył na język polski G. Czernicki. Kraków 1866, cena 2 złr. 40 ct. zniż. na—·50

Müller Max. prof. Religja jako przedmiot umiejętności porównawczej, Kraków 1876 cena 1 zł. 20 ct. zniżona na—·60

Dr. Müller Karol. Świat roślinny, dzieło poświęcone miłośnikom przyrody z 400 drzeworytami. Kraków 1867 2 tomy 4 złr. zniż. na 2.50

Niemcy czy Moskale. Kraków 1881. —·25

Nowelle. Zbiór nowelli: Dickensa, Daudeta, Puszkina Copeé'go, Turgeniewa, Kulisza, Elizy Polko, Jokaja i t. d. Kraków 1883. 3 zeszyty. Każdy zeszyt po —·50

Okoński. Niewinni i Antea, dramaty. Kraków 1876. 1 złr. zniżona na—·50

Opaliński. Satyry. Kraków 1883 (w druku). —·80
— tož samo w oprawie 1·20

Pawlikowski. Tajemnica pani Krzuckiej, nowella, Kraków 1876. —.75

Pieśni polskie, zbiór ulubionych pieśni patrjotycznych. Kraków w r. 1883. —·60
— tož samo w eleganckiej oprawie 1·—

Pol Wincenty. Obrazy z życia i natury 2 tomy, 4 zł. zniżona na 1·60

Przewodnik po Krakowie (najnowszy) z dołączeniem planu miasta, informacyj, adresów. Kraków 1882 —·60
— tož samo w oprawie —.60

Rovani. Młodość Juliusza Cezara, opowiadanie z czasów rzymskich. Kraków 1876. (wyczerpane)

Sabowski. Józef Hauke Bosak, szkic biograf. Kraków 1866. —·20

— Intrygant, powieść. Kraków 1876 (na wyczerpaniu). zniżona na—·75

Schmidt Henryk. Szkic historyczny dziejów 30-letniego panowania Stanisława Augusta z 8 rycinami rysunku Kossaka i W. Eljasza. Kraków 1862 cena 1 złr. 20 ct. zniż. na—·50

Szujski. Długosz i Kallimach. Lwów 1880. 1·—

Słowacki Juljusz. Hugo, Mnich. Arab, Jan Bielecki, Żmija, W Szwajcarji, Ojciec zadżumionych. Kraków 1882. —.40
— Lambro, Anhelli, Wacław, Duma o Rzewuskim, Grób Agamemnona, drobne wiersze. Kraków w roku 1882. —·40
— Mindowe, Marja Stuart, Pan Tadeusz. Kraków w r. 1882. —·40
— Sen srebrny Salomei, Król Duch. Kraków 1882 —·40
— Balladyna. Kraków 1882. —·40
— Beniowski. Kraków 1882. —·40
— Lilla Weneda, Mazepa. Kraków 1882 —·40
— Kordjan, O potrzebie idei. Kraków 1882. —·40
— Książę niezłomny. Kraków 1882. —·40
— Ksiądz Marek, Poema Piasta Dantyszka o piekle Kraków 1882. —·40
— Dzieła Juljusza Słowackiego, pierwsze tanie wydanie w 5-ciu tomach, zawierające tož samo co wydania lipskie i lwowskie z dodaniem odnalezionego urywku poematu „Pan Tadeusz" Kraków 1882 cena 4·—
— tož samo oprawne w płótno angielskie 6·—

Sprawozdania literackie. Maj-Październik 1882. r. Kraków 1883 —·20

Stanowisko Polaków w sprawie rossyjsko-niemieckiej. Kraków 1882. —·30

Szajnocha. Początek lechicki Polski. Lwów 1858 r. cena 4 złr. zniżona na 1·50

Szpaderski X. Patrologja, 2 tomy. Kraków 1878 r. cena 4 złr. zniżona na 1·50

Wierzbicki Dr. Geometrja wykreślna wraz z zastósowaniem do teoryi cieniow i wolnej perspektywy 2 części z 2 atlasami dla użytku wyższyh szkół realnych. Kraków 1875 każda część 2 zł. zniżona na 1 złr. 50 ct. dwie części 3·—

Zacharjasiewicz. Marek Poraj, powieść z czasów pierszego rozbioru Rzplitej polskiej. Kraków 1867. cena 2 złr. 40 ct. zniżona na—·80

Załęski St. ks. T. J. Słowo o książce Juljana Bartoszewicza: Szkic dziejów kościoła ruskiego. Lwów 1881. —·15

Ziemiałkowski Florjan, życiorys z portretem. Kraków 1883. 1·—

Zawiliński R. Z Etnografji krajowej. Kraków 1883. —·20

Żółkowski. Momus. Kraków 1883 —·80
— tož samo w oprawie 1·20

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca **Jan Blaschke**.

W drukarni A. Koziańskiego.